



Fot. P. Treger

Czyżby szkoła wylegarnią chochołów?

Bohdan Komorowski

Na łamach prasy krajowej rozgorzała ostatnio dyskusja na temat chochołów narodowych, to jest istot gnuśnych a nieodpowiedzialnych, stanowiących plagę krajową numer jeden. Chochołów wini się o przestoje, nieterminowość, nierzetelność i niesolidność. Są wrogiem naczelnym prakseologii, czy teorii dobrej roboty i nauki o sprawnym a skutecznym działaniu, planowaniu i zarządzaniu. Tkwią w gospodarce, zawalając plany i zamieniając ilość w bylejałość. Puszczają zajęczki obietnic na odczepne, odsyłając interesantów, klientów i pacjentów „do przyszłego tygodnia”, „do kolegi” lub po prostu „do wszystkich diabłów”.

CHOCHOL-urzędnik — to mały dostojny, załatwiający sprawę profilem do klienta i odmrukujący mu z łaski, bo właśnie chce pogadać ze współchochołem lub napić się kawy. Chochoł-ekspedient kreuje królewicza lub królowną zza lady, traktując interesanta jako zawałdę i intruza, co mać dołce far niente. Chochoł-zwierzchnik jawi się osobistością nieuchwytną w oficjalnych godzinach przyjęć i zaoraną poza miejscem pracy w jakimś tajemniczym „teren”, a gdy się go przychwyli, spojlera tragicznie na zegarek i z fantazją rozrzucając dziwaka udziela, wzdychając, kilku sekund na łaskawe wysłuchanie spraw istotnych, by nagle wyfrunąć „bo konferencja”. Chochoł-sekretarka — to istota której wlecznie zawieruszają się gdzieś ważne pisma, ulatują z głowy pilne zlecenia i terminy, toteż

szukać musi ratunku w wypadkach na świeżym powietrzu, by przy okazji załatwić sobie lekarza, dentystę, fryzjera i zakupy. Chochoł-kierowca jak zresztą wielu innych współchochołów z wielu innych branż, nigdy nie zapomni o zatankowaniu alkoholu z wiadomymi skutkami Chochoł-lekarz udający, że go nie ma w Pogotowiu... Chochoł-kolejarz podważający sens istnienia jakiegokolwiek rozkładu jazdy... Chochoł-uczeń i student... Chochoł nie krzywdzący studentów, a dobierzmy się do chochołów-strażaków. „Podczas pożaru w Białymstoku strażacy rozpoczęli swoje czynności od spisania protokołu, pożar ugasił pewien student z miejscowej filii UW” („Polityka”, nr 26/1971).

Dokończenie na str. 4-5

Burza w muzeum

Mirosław Derecki

Kiedy dzisiaj, prawie po trzech latach mojego odejścia z Muzeum w Chełmie, wsłuchuję się w wiadomości, które (...) do mnie docierają, a posunięcia kierowniczkę Muzeum tylko potwierdzają te przykre wieści, to stawiam sobie pytanie: po co ja 50 lat (1918—1968) czyli całe moje życie przepracowałem w Muzeum, które wywołałem z uśpienia i wprawiłem w ruch. (...) po co 50 lat zmarnowałem robiąc przyjemność sobie i spełniając swój obywatelski obowiązek...

TAKIE oto, pełne goryczy zdania, zawarł nestor chełmskiego nauczycielstwa, Kazimierz Janczykowski, w liście do władz lubelskich datowanym 2 kwietnia 1971 r. Sprawa posiada już długą historię. Obrosła stertą urzędowych papierów, zaangażowały się w nią instancje związkowe i partyjne, kulturalne władze powiatu i województwa, Muzeum Okręgowe w Lublinie... Kierowniczka chełmskiego muzeum, mgr Krystyna Zarzycka, powie reporterowi głosem wzebranym izami: „Włosy mi posiwiały w ciągu kilku miesięcy. Za co ja cierpię tyle nieprzyjemności? Za to, że chciałam dla muzeum jak najlepiej?” Matka byłej pracownicy muzeum, mgr Alicji Stępniewskiej, rzuciła pod adresem kierowniczkę: „Zmarnowała mi dziecko! To przez nią córka znowu rozchorowała się ciężko na serce. Dwadzieścia dni miała zwolnienie lekarskie, teraz też leży w domu, nie ma siły wstać”. Były starszy asystent muzealny, pracownik z szesnastoletnim stażem, człowiek, który pół życia spędził na badaniu chełmskiego regionu, Stanisław Skibiński, oświadczył zdecydowanie: „Dopóki ona jest kierowniczką, nie przestąpię progu muzeum”. W Wydziale Propagandy Komitetu Powiatowego PZPR powiedział z westchnieniem: „Trudna sprawa, towarzyszu. Będąc na waszym miejscu wolałbym dziesięć referatów napisać niż to”. Pewnie.

Muzeum Ziemi Chełmskiej powstało w 1918 r. z inicjatywy ówczesnego dyrektora gimnazjum, Ambroziewicza. Mieściło się w budynku gimnazjalnym i było właściwie „impresją” prywatną kilku zapaleńców, wśród nich — miejscowego nauczyciela, Kazimierza Janczykowskiego. Po wyjeździe z Chełma w 1930 r. dyr. Ambroziewicza Janczykowski przejął opiekę nad rozrastającym się coraz bardziej muzeum. Wieleletnia, społeczna działalność Kazimierza Janczykowskiego wiąże się z szeroko

zakrojoną akcją propagandową a rzecz muzeum. Profesor potrafił rozbudzić zamilowanie do przeszłości i wśród uczniów i wśród mieszkańców powiatu.

W czasie II wojny światowej Niemcy rozgrabili 90 proc. ekspozycji. Po wyzwoleniu Janczykowski poświęcił się bez reszty reaktywowaniu zbiorów. Już w 1950 r. opiekę nad Muzeum Ziemi Chełmskiej przejęło państwo. Notabene dopiero wówczas, po 32 latach, profesor zaczął otrzymywać wynagrodzenie za swoją pracę.

W 1962 r. decyzją Prezydium MRN został przeznaczony na pomieszczenie muzealne obszerny budynek dawnego kolegium pijarskiego. Dotychczas tysiące ekspozycji zawały pod sufit jedną izbę szkolną, nie było mowy ani o sensownym segregowaniu zbiorów, ani tym bardziej o organizowaniu ekspozycji. Ale w budynku popijarskim mieściło się kilka instytucji, które należało wykwatrować, trzeba też było znaleźć pieniądze na remont. Dopiero po siedmiu latach, 19 lipca 1969 r., nastąpiło otwarcie pierwszej części muzeum, otwarcie całości — 9 maja 1970 r.

Władze chełmskie mogą się dzisiaj pochwalić posiadaniem jednego z najpiękniejszych muzeów powiatowych w kraju. 23 obszerne pomieszczenia obejmują sale wystawowe, pracownie pomocnicze, bibliotekę, magazyny, biura. Samych sal wystawowych jest 13. Dochodzą do tego dwa korytarze, gdzie również organizuje się ekspozycje. Doskonale prezentują się cztery stałe wystawy: przyrodnicza, etnograficzna, historyczna, XVIII i XIX-wiecznego portretu polskiego. Organizowane są liczne wystawy okresowe. Przy muzeum działa Uniwersytet Kultury.

W tych przestronnych salach i korytarzach nie słychać już jednak tubalnego głosu profesora. Doble-

Dokończenie na str. 3

ZWŁOKI Słomowej odkryła jej przyjaciółka, Franciszka Kartoszkowa. I od razu pomyślała o dolarach. Właściwie zamiast przyjaciółki, należałoby powiedzieć sąsiadka, rówieśnica. Tak naprawdę Eugenia Słomowa przyjaciół nie miała. Od dwóch lat, od czasu gdy zmarł jej mąż Jan, żyła samotnie w swym domu na skraju małej wioski o rozrzuconej zabudowie, przypominającej kozacki chutor. Dom też był mały, drewniany, dwa pokoje z kuchnią, raczej skromne, tyle że z jednej strony przylegał doń obszerny taras ogrodzony murem balustradą, rzecz nie spotykana w okolicy. Taras był w stylu amerykańskim. Słomowie mieli rodzinę w Stanach Zjednoczonych, czasem otrzymywali od niej niewielkie sumy, rzadziej drobne upominki. Kiedyś w paczce był tygodnik ilustrowany poświęcony sprawom rolnictwa, a w nim zdjęcia farm z takimi tarasami. Wtedy właśnie oczekiwali wizyty kogoś z USA. Zrobili taras i u siebie. Powodziło im się nieźle. W powiecie tomaszowskim ziemia jest żyzna. Z kilku hektarów bezdzietne małżeństwo mogło żyć dostat-

nie. Upominki zza oceanu nie miały większego wpływu na budżet rodzinny. I choć czasem przyszedł w liście zielony papierek, częściej dolary przynosiła do domu Eugenia. Kupowała je gdzie i ile się dało. W inną walutę nie wierzyła.

jednak dała przeprosić, pod warunkiem, by córka służącej nie pokazywała się jej na oczy. Jan terminowo wysyłał pocztą alimenty, lecz gdy poczuł się źle, cały majątek zapisał żonie. Ten sam krewny, który radził mu nie przyznawać się do stosunków ze służącą, teraz

nieoczekiwanie, Jan, bez prośby sam odwiedzał bratanka i dawał mu w prezencie mało używaną maszynę wartości kilkunastu tysięcy, lub sprzedawał konia grubo poniżej jego wartości.

Eugenia zawsze sknerzyła, a gdy Jan zmarł w 1960 r. na raka, zro-

w Hrubieszowie, wozila złotówki i dolary, pobudował się za nie; miała zamiar sprzedać ziemię i zamieszkać u niego.

Kartoszkowa, najbliższa sąsiadka, nie widziała Słomowej przez trzy dni i nie widziała, aby palilo się u niej światło. To niezwykłość nawet tu, na Rostoczu, w połowie marca, gdy śnieg na zboczach wzgórz sięga po ramiona. Droga do Słomowej zawiana była zupełnie. Pod domem oprócz tropów zajęczych i wronich, ani śladu. Drzwi do sieni zamknięte od zewnątrz na skobel, z przelotnymi przezeń nożyczkami krawieckimi.

— Eugenia wyszła? Zaczekam na nią w środku — pomyślała Kartoszkowa, nie zastanawiając się, że nie ma śladów wyjścia. Otworzyła drzwi, weszła do środka i zaraz, przerażona, wolała Jezusa, Jezusa, wyskoczyła na dwór. Mimo swych 73 lat pobiegła do sąsiadów, by powiadomić o jej odkryciu Romana Słome, najbliższego mieszkającego kuzyna Eugenia.

Eugenia leżała na łóżku przykryta pierzyną. Nogi i ręce miała związane chustką i sznurem. Na obramialej twarzy zakrzepła krew.

Dokończenie na str. 6-7

Trzy patyki na dwóch

Roman Słoma

Słomowie zatrudniali służącą. Pewnego dnia nieoczekiwanie odeszła. Szkoda nawet, robotna była. Wkrótce urodziła córkę i domagała się od Jana alimentów. Zgodził się bez oporu. Gdy krewny namawiał go do wyparcia się ojcostwa, odparł: „To moje dziecko, wiem co robię, będę płacił”. Eugenia początkowo wyprosiła się z domu, w końcu

przyszedł i powiedział: „Jak powiedziałeś przed sądem, że to twoja, to teraz zapisz coś jej, bo ona więcej należy do rodziny, niż Eugenia”. I znów Słoma powiedział krótko: „Wiem co robię”. Dziwnym człowiekiem był Słoma. W sąsiedniej wsi gospodarzył syn jego brata Franciszka, Roman. Budował się, przychodził prosić Jana o pomoc, nie dostał grosza. A

biła się strasznie skapradłem. Nawet sobie żalowała. Leczyła się na coś w szpitalach lubelskich, nikomu nie mówiła na co, bolało ją w środku i żeby zapomnieć o tym, piła jak inni w okolicy kawę z de-naturatem, choć stać ją było i na koniak. Prawda, że cudzego nie ruszyła, a jak wynajęła ludzi do roboty, płaciła solidnie. Tylko synowi swego brata, mieszkającemu



12 bm. odbyło się w Lublinie z udziałem członka Biura Politycznego sekretarza KC PZPR, Edwarda Bablucha, plenum KW PZPR poświęcone sprawom organizacyjnym.

W związku z rezygnacją mgr Władysława Kozdry ze stanowiska I sekretarza KW PZPR, plenum wybrało I sekretarzem KW PZPR w Lublinie dr Piotra Karpiuka (na zdjęciu), dotychczasowego prezesa Państwowej Komisji Cen, długoletniego działacza partyjnego, dobrze znanego mieszkańcom Lubelszczyzny.

Prezes Rady Ministrów mianował mgr Władysława Kozdrę podsekretarzem stanu w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego.



Kultura 1971

Literatura

W dwóch wieczorach międzynarodowej poezji współczesnej w Londynie wziął udział Tadeusz Różewicz. Wydawnictwo Penguin Books przygotowuje książkę z poematami różnych języków, w tym z poematami Różewicza.

Poeta i tłumacz literatury hiszpańskiej krakowski Jan Zych został zaproszony na międzynarodowe wieczory poetyckie w Strudze w Jugosławii, gdzie ma zaprezentować własne utwory. Poeci recytują na starym moście w pięknej scenarii górskiej.

Na konkurs literacki dla uczczenia 50-lecia Komunistycznej Partii Czechosłowacji napłynęło 349 wierszy, opowiadań, reportaży i felietonów. Laureatami konkursu poetyckiego został Józef Hauzlik za utwór poświęcony pamięci górników w Moru, zastrzelonych w czasie strajku w okresie międzywojennym.

Pisarz i wydawca fiński Osmo Lampinen twierdzi, że normalne, a nie tzw. cudowne dzieci, mogą tworzyć wartościowe poezje literackie. Przy pomocy radia i telewizji ogłosi konkurs, otrzymując tysiąc tekstów od dzieci w wieku 12-15 lat. W serii "Kontakty" opublikował już 25 książek, które cieszą się wielkim powodzeniem nie tylko u młodych, ale i starszych czytelników.

Nestor literatury szwajcarskich Francesco Chiesa, tworzący w języku włoskim, obchodził niedawno stułecie urodzin. Napisał kilkanaście sonetów, poemat "Calliope", powieści "Villadorna" i "Passegliate" oraz liczne opowiadania. Debiutował w roku 1897.

Parzyńska firma wydawnicza "Garnier" wydała już siedem tomów listów, napisanych przez George'a Sand. Całość obejmuje 12 tys. listów, w tym 7 tys. dotychczas zupełnie nie znanych.

Teatr

W warszawskim Teatrze Współczesnym odbyła się premiera komedii "Cocciati-party" Thomasa Stearnsa Eliota w reżyserii Jerzego Kreczmara i scenografii Otto Axera.

Za wybitne osiągnięcia prezentowanych przedstawień ("Mia Rym Cim Cim" i "Baśń o dwóch rycerzach śpiących") Teatr Lalek "Baniuluka" z Bielska-Białej otrzymał specjalny medal pamiątkowy na festiwalu w Konstancji. Polscy artyści występowali także w Bukareszcie.

Sztuka

W maju przyszłego roku w ramach Łódzkiej Wiosny Artystycznej odbędzie się pierwsze triennale tkaniny użytkowej i użytkowej, które ma się przekształcić w stałą imprezę. Ma to być przegląd osiągnięć krajowego i łódzkiego wzornictwa przemysłowego oraz twórczego warsztatu artystów-tekściarzy.

Diżki zakupom i darom Muzeum Narodowe w Krakowie zgromadziło najbogatszą w kraju kolekcję sztuki orientalnej — indyjskiej, indochińskiej, chińskiej, japońskiej, tybetańskiej i sjamskiej.

W Sopocie trwa wystawa współczesnej szwedzkiej tkaniny artystycznej, obejmująca projekty kotar, tkanin kolarzowskich, gobelinów, zasłony i kompozycje przestrzenne tkanin fakturalnych.

Pod grubą warstwą tynku w kaplicy św. Anny w kościele franciszkańskim w Opolu odkryto unikalne freski z XIII wieku przedstawiające sceny biblijne. Będzie je można oglądać jeszcze w tym roku.

Polski artysta Antoni Stareczewski na międzynarodowym konkursie na ceramiczne artystyczne we włoskiej miejscowości Faenza zdobył jeden ze złotych medali za artystyczną kompozycję ceramiczną.

22-letnia malarzka grecka Maria Kavari otworzyła w Atenach wystawę swoich dzieł — palisady, napisy na murach, postacie przybite do muru itp. Podkład muzyczny obejmował jęki, głosy, trzaski i niepokój, nieudane wstrząsy. Po trzech dniach polska wystawa zamknięta.

Na wzgórzu Cutbery Castle w hrabstwie Somerset w Anglii odkryto relikty wczesnośredniowiecznych budowli. Naukowcy przypuszczają, że są to pozostałości zamku Camelot króla Artura i jego rycerzy Okrągłego Stoła.

Kamena str. 2

W Aries w południowej Francji odkryła się wysiada 57 doskonałych rysunków 30-letniego już Picasso, który najczęściej tam mieszka. Po zamknięciu wystawy Picasso podarował miastu wszystkie rysunki.

Muzyka

XXVI Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju rozpoczął się koncertem Filharmonii Wrocławskiej z udziałem solistów Natalii Gawrilowej (ZSRR) i Piotra Palecznego.

Operetka Dolnośląska, której kierownikiem artystycznym po opuszczeniu Lublina jest Barbara Kostrzewska, obchodzi 15-lecie istnienia. W tym czasie placówka ta dała 3578 spektakli dla 2,5 mln widzów na Dolnym Śląsku i w 4 sąsiednich województwach.

Niezwykle gorąco był oklaskiwany na międzynarodowym festiwalu muzycznym w Lublinie Teatr Wielki z Łodzi, który wystawił w tamtejszym teatrze letnim operę "Kniaź Igor" Borodina oraz operę "Tragedia albo rzecz o Janie i Herodzie" Twardowskiego.

Wybitny skrzypek polskiego pochodzenia Henryk Szeryng odnalazł ostatni z zaginionych po śmierci kompozytora koncert nr 3 Paganiniego na skrzypce i orkiestrę. Kompozycja pochodzi z 1826 i Paganini grał ją wielokrotnie, ale potem partytura zaginęła, sprzedana przez przybranego syna Paganiniego — barona Aquilino.

W ramach jubileuszowego kongresu organizacji międzynarodowej "Jeunes Musicales" we Florencji wystąpił chórem mieszany Uniwersytetu Warszawskiego oraz orkiestra kameralna "Pro Musica" z Łodzi. Występ został oceniony bardzo wysoko i dodatkowo zorganizowano im jeszcze jeden występ w Villa Manina koło Udine.

Czołowy kompozytor angielski Benjamin Britten po kilku latach współpracy z telewizją wraca do twórczości operowej, która przyniosła mu światowy rozgłos. Zdaniem kompozytora praca dla telewizji "wymaga zwracania większej uwagi na stronę techniczną niż artystyczną, co częstokroć wpływa ujemnie na interpretację utworu, zakłóca jego muzyczną jednolitość".

Film

Największym powodzeniem na polskich ekranach w roku ub. cieszył się film "Kleopatra", który obejrzało 2,1 mln widzów. Na drugim miejscu uplasował się film sensacyjny, także amerykański — "Zawodowcy". Pierwszy film polski — "Jak rozpałem II wojnę światową" — znalazł się dopiero na 8 miejscu, mając 1822 tys. widzów.

Ekipa radzieckich filmowców ze Szwedzkiej rozpracowała w Oświęcimiu realizację filmu "Pieśni walki i gniewu" — o ludzkiej, którzy za drutami obozowymi tworzyli patriotyczne pieśni. Jednym z nich był mieszkaniec Krakowa Aleksander Kulisiwicz, twórca 54 pieśni. Koncertował on w wielu krajach świata, a jego na ten temat nadawała nawet telewizja japońska, ale Kulisiwicz w Polsce jest niemal nie znany.

Różne

W warszawskiej Kordegardzie będzie krótkie uruchomienie Ośrodka Informacji Sztuki Plastycznej, który ma być swego rodzaju salonem literacko-malarskim. Będzie się tam spotykały plastycy, literaci i "zwykli śmiertelnicy" na dyskusjach i mini-wystawkach. Będzie się tam można również dowiedzieć, co i gdzie warto zobaczyć, zresztą nie tylko w Warszawie.

Od września rozpoczyna w Krośnie działalność pomaturalne Studium Kulturalno-Oświatowe i Choreograficzne. Będzie ono kształciło instruktorów i choreografów dla amatorskiego ruchu artystycznego.

Istniejący od 23 lat w Suchumi, stolicy Abchazkiej SRR, męski zespół śpiewaczy jest niezwykły: liczy 30 osób, a wszyscy mają ponad 80 lat, nie brakuje studentów i starszych. Członkowie zespołu prezentują także stare tańce ludowe. Występowali oni kilkakrotnie przed kamerami telewizji oraz poza granicami republiki.

Pewien zespół z Brukseli zaprezentował w Londynie "muzykę dziwną" — jak to określili recenzenci. Jest to opus "Gwiazdzisty atlas" Johna Cadgę, który kompozytor nazwał "transkrypcją na orkiestrę atlasu astronomicznego".

Na południe od Kairu znaleziono skamieniałe kości pochodzące od małej małpy, żyjącej przed około 30 milionami lat.

Strategiczne bogactwo

PRZYWYKLISZY uważać za bogactwa naturalne węgiel, ropę, miedź, plantacje drzew kaurukowych czy krzewów bawelny, hodowlę bydła lub owiec itd. Okazuje się jednak, że są bogactwa naturalne zupełnie innego typu: strategiczne. Chodzi tu o położenie pewnych terytoriów w miejscach, gdzie krzyżują się interesy strategiczne różnych państw i dopiero w ślad za nimi — chociaż nie zawsze — także interesy gospodarcze. Takie bogactwo, nie wyglądając poza Europę, stanowi Kanał Kiloński, a przede wszystkim Gibraltar i Malta.

Ta ostatnia wyspa, o powierzchni nie przekraczającej połowy powierzchni powiatu bełżyckiego, w ostatnich tygodniach znów stała się głośna. Na jej temat obradował kilkakrotnie rząd Wielkiej Brytanii, dyskutowano o niej w Izbie Gmin, nad związanymi z nią problemami aż przez trzy dni zastanawiała się w Brukseli Stala Rada Paktu Północno-Atlantyckiego. Właśnie tam, na Malcie, pewnego dnia może dojść do niezwyklej sytuacji, gdy w jednym doku będzie remontowany amerykański krążownik, a tuż obok w drugim — radziecka łódź podwodna.

Ta dosyć skalista i niezbyt przychylna człowiekowi wyspa była zamieszkała już przynajmniej 5 tysięcy lat temu, czego świadectwem są resztki budowli sakralnych, budowanych bez użycia zaprawy, w swoim rodzaju mające pewne pokrewieństwo z egipskimi piramidami. Dalsza historia nie szczędziła mieszkańcom wyspy mniej lub więcej przykrych okresów. Przed 35 wiekami opanowali ją Fenicjanie i przez 700 lat Melita, bo tak się wówczas nazywała, była nazywana, przeżywała niemal złoty okres, bogactwem się na handlu. Potem przyszli Grecy, Rzymianie, Wandalowie i Ostrogoci, Bizancjczycy, Arabowie, Normanowie, joanci (zakon Kawalerów Maltańskich), a potem Napoleon w drodze na podbój Egiptu.

Wielki wódz Francuzów potknął się na tej wyspie już niemal na samym początku swojej błyskotliwej kariery. Zaledwie mianował się pierwszym konsulem i naczelnym wodzem całej armii francuskiej, zaledwie uchwycił w swoje ręce całą inicyjatywę prowadzącą i władzę wykonawczą — Anglicy zajęli ten bardzo ważny strategiczny punkt w roku 1800, co wkrótce potwierdził w Wiedniu tzw. Tańczący Kongres.

I nie wypuścili jej z rąk do dzisiaj. Ale powiązania śródziemnomorskiej wyspy z dużą wyspą na północy Europy zmieniły się wraz z upływem czasu i warunków, kształtujących się nie tylko na naszym starym kontynencie.

Początkowo była to po prostu kolonia, służąca Anglikom jako bardzo dogodny punkt handlowy, pozwalający na penetrację całego obszaru przylegającego do Morza Śródziemnego. Gdy przekopano Kanał Sueski, znaczenie Malty niepomniernie wzrosło — zarówno ze względu na handlowy jak i strategiczny. W miarę zaplątania się stosunków międzynarodowych znaczenie strategiczne stawało się coraz bardziej pierwszoplanowe. Zbudowali więc tam Anglicy najpierw duży port dla okrętów wojennych, stale rozbudowywany i unowocześniany, a potem także lotnisko, na którym zawsze mogły lądować samoloty wszelkich typów. Z tego małego, ale ważnego punktu Anglicy pilnowali swoich interesów w północnej Afryce, południowej Europie, na Bliskim Wschodzie i w drodze na Daleki Wschód.

Znaczenie strategiczne Malty ujawniło się szczególnie w czasie drugiej wojny światowej. Najpierw lotnictwo Mussoliniego niezbyt udolnie, a potem niemieckie bardzo gwałtownie i dziesiątki razy bombardowało bazy angielskie na wyspie — trzeba przyznać, że bez większego efektu. W najgorszych dla zachodnich aliantów czasach drugiej wojny Malta jak cichy tkwiła w odległości zaledwie 100 km od Sycylii, zaopatrując alianckie okręty i samoloty.

W konsekwencji zmian, jakie nastąpiły w świecie po wojnie, międzywojenny samorząd lokalny Malty został rozszerzony i w 1947 roku otrzymała ona własną konstytucję, opracowaną jednak przez Anglików, na mocy której uzyskała dość dużą autonomię. Maltańczycy — naród o pochodzeniu etnicznym bardzo mieszanym, nie bez pokątnego demieszkii arabskiej — uważali jednak, że przyszłość polityczna ich kraju jest niepewna i zbyt uzależniona od Londynu, zażądali więc zmian w konstytucji i większych dla siebie uprawnień. Rząd brytyjski zawiesił konstytucję, w odpowiedzi dwie najsilniejsze partie polityczne Malty — Maltańska Partia Pracy i Partia Narodowa — odmówiły współpracy z władzami brytyjskimi. Rozpoczęły się żmudne rokowania, przerywane coraz gwałtowniejszymi demonstracjami ludności przeciw Anglikom. Władze brytyjskie zostały w ten sposób zmuszone do ustępstw i pod koniec roku 1961 ogłoszono nową konstytucję, a 3 marca 1962 roku niepodległość państwa Maltańskie. Niepodległość jednak została ograniczona tym, że nowe państwo weszło w skład Wspólnoty Brytyjskiej, a więc funkcje głowy państwa sprawowała nadal królowa brytyjska, z kompetencji rządu lokalnego zaś wyłączone sprawy polityki zagranicznej i obrony. Władzę ustawodawczą przejęła 50-osobowa Izba Reprezentantów, wykonawczą rząd, a angielski gubernator generalny

tylko reprezentował królową na różnych uroczystościach.

Ale równocześnie Anglicy naciskami ekonomicznymi potrafili zmusić Malte do zawarcia z sobą układu o wzajemnej obronie i pomocy. Na mocy tego układu Anglia zachowała pod swoją władzą port wojenny w stolicy La Valetta oraz okoliczne tereny z lotniskiem i magazynami, placąc za ich utrzymanie 1-3 milionów funtów rocznie, w większej części towarami.

I tu właśnie rozpoczął się ostatni konflikt. Latem bieżącego roku w wyniku wyborów do władzy doszła opozycyjna dotychczas Maltańska Partia Pracy, a premierem został jej przywódca Dominic Mintoff. Większość parlamentarna jest najmniejsza z możliwych — zaledwie o jeden głos. Ale to wystarczyło, aby nowy premier zaczął nową politykę. Jeszcze jako przywódca opozycji występował gwałtownie przeciwko nadmiernej ingerencji brytyjskiej w sprawy Malty, to on był tym, który rzucił hasło rewizji pierwszej konstytucji z 1947 roku, to Maltańska Partia Pracy — początkowo wbrew rządzącej Partii Narodowej — domagała się pełnej niepodległości wyspy.

Chyba nie dopiero z chwilą objęcia władzy Mintoff doszedł do wniosku, że Wielka Brytania zbyt mało płaci jego krajowi za używanie baz morskiej i lotniczej. Zwłaszcza, że nieuczepnie w zgodzie i zawartym układem Wielka Brytania udostępniła te bazy okrętom i samolotom wojennym NATO, a szczególnie VI flocie amerykańskiej. Prawda, że w tych bazach pracuje około 5 tysięcy Maltańczyków, otrzymując zupełnie dobre wynagrodzenie. Ale prawdą jest także, że Malta od szeregu lat ma deficyt w handlu zagranicznym, że co roku jej bilans płatniczy jest ujemny. Mimo weale pokatnych dochodów z turystyki. Przeciętny poziom życia ludności jest wyraźnie niższy niż w państwach zachodniej Europy. Przyczyni się do tego także niezwykle duże zagęszczenie ludności — tysiąc osób na 1 km², co należy do najwyższych wskaźników w świecie.

Układ wojskowy z Wielką Brytanią wygasa w 1974 roku. Premier ocenia, że za korzystanie z baz Wielka Brytania, a właściwie NATO, powinna płacić 30 milionów funtów rocznie, a więc sześć razy więcej niż dotychczas. Zagroził nawet w swego rodzaju ultimatum, przesłanym do Londynu, że gotów w ogóle zrezygnować z wynajmu tych baz — chociaż jest to zapewne tylko argument przetargowy. A gdyby Londyn całkowicie odrzucił jego żądania, Mintoff twierdzi, że zarówno port jak i doki, dobrze wyposażone i posiadające kadry wysoko kwalifikowanych fachowców, zostaną na zasadach handlowych uprzywilejowane każdemu, kto zechce z nich skorzystać. Mogłoby więc dojść do owej niezwyklej sytuacji, o której była mowa na początku.

Ale nie tylko względy finansowe kierują premierem maltańskim. Wpływy arabskie na tej wyspie były zawsze silne. Przykład najpierw ZRA, a następnie innych krajów tego rejonu okazał się zaraźliwy. Mintoff doszedł do wniosku, że Malta nie została skazana na wieczną, przymusową przyjaźń z Anglikami czy Amerykanami. Nie lubi także Włochów, częściowo ze względu na wspomnienia wojenne, częściowo dlatego, że kraj ten znajduje się w ramach NATO. Komentatorzy zachodni twierdzą, że Mintoff chce prowadzić tzw. politykę śródziemnomorską, to znaczy taką, która żyje w zgodzie możliwie ze wszystkimi, ale z nikim nie wiąże na stałe całej swojej przyszłości.

Wygląda na to, że tak jest istotnie. Być może Mintoff ma zbyt gwałtowny charakter i brak mu jeszcze doświadczenia w grze politycznej. Stąd zbyt gorące słowa i zbyt daleko, na początek, idące żądania. Wielka Brytania i jej sojusznicy z NATO posiadają w obecnej chwili zbyt wiele argumentów, przede wszystkim natury ekonomicznej — by nie uciekać się do nacisków wojskowych — wystarczających do utrzymania w ryzach sojusznika, którego ludność liczy zaledwie 320 tysięcy osób.

Ale ten sojusznik ma w rękach argument w dalszych czasach najważniejszy, argument, który potrafi sferować najbardziej twarde pancerze kas bankowych: swoje położenie strategiczne. Wie o tym Mintoff i na wyzyskaniu tego atutu polega cała jego gra. Zdaje sobie również sprawę, że ze względu na swoje położenie oraz poziom techniczny stanowi potencjalnego sojusznika dla pobliskich krajów Afryki północnej, przede wszystkim Libii i Tunezji. Z Libii nawiązał już pierwsze kontakty i nawet zaprosił eskadrę okrętów libijskich do odwiedzin w tym samym dniu, w którym miały przypląć okręty amerykańskie. Gdy Waszyngton odwołał ową wizytę, Mintoff zrezygnował również z odwiedzin okrętów libijskich. W skali Malty było to bardzo duże zwycięstwo. Po wielu pertraktacjach Anglia, a właściwie NATO, chcą podobno płacić za bazy 3-4 razy więcej, bo i to im się opłaca. Mniejsza jednak o szczegóły. Istota polega na tym, że zachwiał się jeszcze jeden filar sojuszu północnoatlantyckiego, że jeszcze jeden mały naród przeciwstawił się imperialistycznej polityce i nie chce być tylko narzędziem na mapie świata.

(jd)

TABAS Myhal, jeden z współpracowników redakcji miesięcznika "Zwiewki" we Lwowie, wydał w roku 1970 powieść w dwóch częściach "Ogień i czad". Akcja jej toczy się we Lwowie w pierwszych latach okupacji niemieckiej. Temat bardzo interesujący i, jak dotychczas, mało wykorzystany przez pisarzy ukraińskich.

Niezwykle skomplikowana sytuacja w dziełach od samego początku warunkach okupacyjnych przedstawiona została przez autora z dobrą znajomością realiów owego czasu i miejsca. Przed oczami czytelnika przewijają się liczne postacie Ukraińców, Polaków, Żydów, Niemców, indywidualizowane tak pod względem układu psychicznego, jak i czynów.

Za głównych bohaterów powieści uważa dwóch braci Kasztanuków: Mykołę — zdecydowanego komunistę, który od samego początku okupacji organizuje walkę podziemną przeciwko Niemcom we Lwowie, oraz Iwana, który nie podziela poglądów ideologicznych brata, był raczej po drugiej stronie barykady ideologicznej, lecz w miarę trwania okupacji i rozwijania się wypadków sam dobiega do twardego wniosku, że należy bezwzględnie walczyć z najzjadliwymi, Ivan początkowo walczy indywidualnie, ale coraz więcej zbliża się do zorganizowanego ruchu oporu. Dwa bracia Kasztanukowie reprezentują w jakimś stopniu całą szlachtę ówczesnego społeczeństwa ukraińskiego.

Inne postacie przedstawiają różne warstwy ówczesnego społeczeństwa

ukraińskiego okolic Lwowa (w mowie niszczących warstw społeczeństwa), niezadko przytacza frazy i powieści polskie. Dodaje to powieści większej wiarygodności.

„Mroźne krew w żyłach”. Jest to bowiem okres wyjątkowo okrutny.

Powieść zawiera wiele elementów z życia Polaków oraz wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich we Lwowie w tym wyjątkowo trudnym okresie. Jest to jedna z najlepszych powieści ukraińskich zajmujących się tym okresem w tak szerokim zakresie.

Autor nie pomija milczeniem faktów zdrady narodowej, współpracy z Niemcami, nie zatuzuje bolesnych walk bratobójczych w łonie społeczeństwa Lwowa.

Autor umie ciekawie czytelnie, i to nie dziwnie, że nakład tej książki rozszedł się bardzo szybko i czytelnicy ukraińscy, jak się zorientowali podczas ostatniego pobytu we Lwowie, z niecierpliwością czekają na trzecią część tej powieści, która dotychczas była okresu tuż przed końcem okupacji Lwowa.

Powieść jest wyjątkowo ciekawa i udana. Ta książka mogłaby wiele wyjaśnić właśnie czytelnikowi polskiemu również, zmienił pewne utarte u nas poglądy. Szkoda, że nie jest ona przetłumaczona na język polski. Może warto byłoby o tym pomyśleć?

M. L.



Język Myhala jest indywidualizowany, autor często stylizuje na gwara

Burza w muzeum

Dokończenie ze str. 1

galący osiemdziesiątki, cierpiący na ciężką chorobę oczu, 1 listopada 1968 r. odszedł na emeryturę. Odszedł i jak pisał w innym miejscu cytowanego już listu — „postanowiłem zapomnieć o Muzeum i (...) do dzisiaj noga moja nie stała w lokalu, który zdobyłem”. Tyle — o historii.

W 1967 r. kierownik Wydziału Kultury PPRN w Chełmie angażuje na stanowisko zastępcy kierownika muzeum mgr Krystynę Zarzycką. Dyplom historyka sztuki robiła w Lublinie w latach pięćdziesiątych, od dłuższego czasu pracowała w instytucjach kulturalnych, niedawno, wraz z mężem, lekarzem, osiadła w Chełmie. Teraz trafiła do zgranego zespołu ludzi — skompletowano już bowiem spory zastęp pracowników. Poza działalnością merytoryczną zajmują się oni również sprawami remontu muzeum. Oprócz kierownika Janczykowskiego pracuje etnograf Stanisław Skibiński, archeolog mgr Piotr Zaręba, pomocnicze prace administracyjne wykonuje Janina Martowa. Sprzątaczką i zarazem woźną jest Leontyna Pióro.

Już od roku w remontowanym budynku działa biuro muzeum. W tymże budynku, na pierwszym piętrze, zamieszkuje czasowo zastępca kierownika mgr Zarzycka wraz z mężem i dziećmi. Krystyna Zarzycka daje się od razu poznać jako osoba energiczna, obrotna. I pracowita. Potrafi pracować kilkanaście godzin na dobę, szczególnie w ostatnim okresie przed otwarciem muzeum. Nic dziwnego, że po odejściu prof. Janczykowskiego ona zostaje kierowniczką.

Wówczas jednak zaczyna się dość dziwna rotacja pracowników muzeum.

Zostaje zwolniona woźna, Leontyna Pióro. Wkrótce potem, 1 października 1969 r., starszy inspektor pracy Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Kultury i Sztuki Jan Topczewski, przeprowadza w muzeum inspekcję i stwierdza w protokole: „zwalnianie pracowników, udzielenie kar dyscyplinarnych i urlopów — dokonywano bez współudziału rady zakładowej”. Poza tym zwraca uwagę na szereg drobniejszych uchybień: niezgodne z obowiązującymi przepisami zatrudnienie palaczy c.o. w godzinach nadliczbowych, brak regulaminu pracy, niedopilnowanie sprawy badań zdrowia pracowników, liczne braki techniczne z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy. Kierownicze muzeum, odpowiedzialnej za ten stan rzeczy, inspektor wymierza karę grzywny w wysokości 500 zł.

Ochodzą z muzeum mgr Piotr Zaręba. Zwolnił się „na własne życzenie”. Zaręba był wychowankiem prof. Janczykowskiego i właśnie pod jego wpływem zdecydował się studiować archeologię. Podobno w pracy nie odznaczał się specjalnymi talentami, chociaż mógłby temu przeczyć fakt, że następnie dobrze dawał sobie radę na stanowisku kierownika muzeum w Rawie Mazowieckiej.

Na miejscu Zaręby dość szybko zmieniły się po sobie mgr filologii polskiej Jadwiga Cichońska i jej koleżanka po fachu, mgr Maria Wojna. Ochodziły podobnie jak Zaręba — na własną prośbę. Tylko woźna Piórowa opuszczała muzeum z hukiem, oskarżając m. in. kierowniczkę o ciągłe próby wykorzystywania jej do osobistych potrzeb.

Na przełomie lat 1970—1971 — nie licząc sprzątarek i palaczy — zespół pracowników przedstawiał się następująco: kierowniczką — mgr Krystyna Zarzycka, starszy asystent — Stanisław Skibiński (dział etnografii i przyrody, organizacja i opieka nad zbiorami pamiątek), młodszy asystent — Wacław Sionkowski (dział archeologii, historii, opieka nad pracownią fotograficzną), młodszy asystent — mgr Alicja Stępniewska, absolwentka polonistyki (prowadzenie księgozbioru muzeum, działu numizmatyki i działu oświatowego); starszy pomocnik muzealny, pracownica administracji, Janina Martowa, od lutego 1970 r. odszła na roczny urlop bezpłatny, w tym czasie na jej miejscu pracowała H. Madejska.

Mogłoby się wydawać, że muzeum weszło nareszcie, po półwiecznych perypetiach, w okres stabilizacji. Władze kulturalne witały z zadowoleniem kolejne wystawy, przez sale muzealne przeżywały się liczne wycieczki, zespół

pracowników dokonywał inwentaryzacji zbiorów. Klótni, wewnętrznych tarć, sporów między pracownikami, nie odnotowywano. Na pół roku wszystko było w porządku. Ale tylko na pozór.

W połowie marca 1971 r. Zarząd Okręgu ZZPKiS w Lublinie otrzymuje pismo następującej treści:

„My, niżej podpisani pracownicy Muzeum w Chełmie, protestujemy przeciwko nieuczciwemu udzieleniu upomnienia naszej Koleżance Ob. Alicji Stępniewskiej przez Kierownika Muzeum Ob. Krystynę Zarzycką.

Uważamy, że upomnienie jest przejawem obserwowanego przez nas od dłuższego czasu niewłaściwego i niedzielnego odnoszenia się do Koleżanki A. Stępniewskiej. Prosimy o zainteresowanie się tą sprawą, a w wypadku potrzeby możemy stuzkę szczegółów (...). Pismo podpisał: Stanisław Skibiński, Wacław Sionkowski i Janina Martowa.

Na pismo, wystosowane przez Zarząd Okręgu do Rady Zakładowej ZZPKiS przy Powiatowym Domu Kultury w Chełmie z prośbą o wyjaśnienie, przychodzi wkrótce do Lublina odpowiedź:

(...) komunikujemy, że przedmiotowa sprawa była uzgodniona z przewodniczącym i z-cą przewodniczącego naszej Rady. Upomnienie było o tyle słuszne, że toż. Stępniewska zachowała się obraźliwie wobec kierownika Muzeum w obecności innych pracowników Muzeum. Tym niemniej naszym zdaniem poprawa stosunków w Muzeum w Chełmie w znacznej mierze zależy od toż. mgr Krystyny Zarzyckiej, kier. Muzeum, która ze względu na dobro instytucji powinna zrehabilitować własne metody kierowania zespołem.

Mimo tego wyjaśnienia Zarząd Okręgu ma podstawy do baczniejszego zwracania uwagi na chełmskie muzeum. Już bowiem 18 lutego nadszedł z Chełma pierwszy sygnał o tamtejszych stosunkach. O pomoc i interwencję zwracała się Janina Martowa. Kiedy po rocznym urlopie bezpłatnym, wziętym ze względu na ciężką chorobę matki, Martowa zgłosiła się w przewidzianym terminie do pracy, dowiedziała się, że kierownictwo Muzeum zwróciło się do Rady Zakładowej z wnioskiem o znaczenie wypowiedzenia pracy. Etat Martowej miała zająć H. Madejska, która ją dotąd zastępowała. Martowej zaproponowano przejście na pracownika pomocniczego w Bibliotece Miejskiej, której kierownikiem był przewodniczący Rady Zakładowej, Andrzej Piłowarczyk. Kierowniczką Zarzycka swoją decyzję motywowała tym, że sekretarka

Jest pracownikiem opieszłym i nieprzystającym (...). Obecnie (po otwarciu muzeum — przyp. M. D.) zakres czynności kierownika administracyjnego znacznie się zwiększył, w związku z czym kierownictwo Muzeum jest przekonane, że Ob. Martowa Janina pracy tej bardziej nie wykona.

Zarzucono też w cytowanym piśmie Martowej spowodowanie manka przy sprzedaży biletów wstępu (przed rokiem — przyp. M. D.). Jak ustaliła późniejsza inspekcja, był to zarzut bezpodstawny, ponieważ sprzedaja biletów zajmowało się kilka osób, pomijając już fakt, że „sprzeniewierzona” suma wyniosła zaledwie ok. 150 zł. Gdy zaś chodzi o „opieszłość i nieprzystatność”, to zarzuty te dziwnie brzmiały w zestawieniu z uprzednio otrzymywanymi przez Martową nagrodami pieniężnymi oraz faktem awansowania jej w 1968 r. ze stanowiska pomocnika technicznego na starszego pomocnika, co się łączyło z podwyżką uposażenia. Pismo w tej sprawie podpisała ta sama mgr Zarzycka.

Sytuacja Martowej była tym bardziej skomplikowana, że była ona jedynym żywicielem rodziny, posiadała na utrzymaniu dwóch dorastających synów. Proponowanej jej w bibliotece pracy zupełnie nie znała, reszta jak iść do takiej pracy będąc obciążoną opinią pracownika opieszłego, nieprzystającego, „mankowicza”, kiedy w dodatku taką właśnie opinię akceptuje przysły zwierzchnik?

Nie dziwnego, że Martowa postanowiła się bronić.

Tymczasem Zarząd Okręgu ZZPKiS otrzymuje kolejną skargę, datowaną 24 marca 1971 r. Tym razem podpisaną przez Wacława Sionkowskiego:

(...) Zaskarżam udzielenie mi niesprawiedliwie przez kierownika muzeum (...) upomnienie z dnia 24 marca 1971 r. (...) Upomnienie to zostało mi udzielone przez Ob. Krystynę Zarzycką tylko z uwzględnieniem uprzedzeń względem mojej osoby.

7 kwietnia wyjechała do Chełma komisja Zarządu Okręgu ZZPKiS



Fot. J. Trembecki (CAF)

powołana dla zbadania stosunków panujących w tamtejszym muzeum. W skład komisji wchodził również st. inspektor pracy Zarządu Głównego ZZPKiS, Jan Topczewski. Zanim jednak przytoczymy ustalenia komisji, cofnijmy się o kilka miesięcy, aby przedstawić tło narosłego konfliktu między kierownikiem placówki a pracownikami.

Po ostatecznym otwarciu Muzeum przyszedł czas na uporządkowanie zalegających magazynów ekspozycyjnych. Było ich około 18 tysięcy. Po latach poniewierki w nieodpowiednich warunkach znajdowały się one często w opłakanym stanie, księgi inwentaryzacyjne były niekompletne i prowadzone w niewłaściwy sposób. Nie miało pełnego rozważania co jest „na składzie”, co jest przydatne a co nie. 1 lipca 1970 r. została powołana komisja inwentaryzacyjna złożona z pracowników, z przewodniczącym Wacławem Sionkowskim. Prace inwentaryzacyjne miały być zakończone w grudniu 1971 r. Wydział Kultury PPRN zależało na zakończeniu tych prac jak najszybciej i postulowano nawet ograniczenie godzin otwarcia Muzeum gdyby zaszła ewentualność „walenia się” planu. Harmonogram prac ustalony przez komisję przewidywał spisanie 42 pozycji dziennie. Wydział Kultury był szczególnie zadowolony, gdy dowiedział się o zobowiązaniu komisji zakończenia prac do sierpnia 1971 r. Tymczasem w praktyce okazało się, że plan jest nierealny. Zbyt wiele było do załatwienia spraw aktualnych.

Wydział Kultury nie został oficjalnie poinformowany przez kierowniczkę o trudnościach związanych z inwentaryzacją. Dopiero 5 lutego 1971 r. wpływa pismo informujące o niemożliwości dotrzymania terminu. Jednakże „wykonanie planu” staje się niemal obsesją kierownictwa Muzeum. Pracownikom zaczyna się patrzeć na ręce, sprawdzać drobniaczko każde ich posunięcie, każde wyjście i powrót do pracy. Pracownicy stają się: leniwi, opieszali, nieodpowiedzialni. Już wcześniej zdarzały się w zespole stany napięcia w związku z przydziałem nagród: pod koniec stycznia i na początku lutego następuje spłecie wywołane sprawą Martowej, po której stronie opowiedzieli się wszyscy pracownicy merytoryczni. Według ich opinii kierowniczką jawi się teraz w pełni jako osoba apodyktyczna, pryncypialna, nie znosząca najmniejszego sprzeciwu.

Ale prawdziwa bomba wybuchła dopiero 9 marca 1971 r. podczas narady roboczej. Po tej właśnie naradzie, a przed zakończeniem godzin urzędowania, mgr Stępniewska otrzymuje owe upomnienie, od którego odwoływała się do Zarządu Okręgu ZZPKiS. O atmosferze tego zebrania niech świadczy fragmenty protokołu sporządzonego przez Skibińskiego, Stępniewską, Sionkowskiego i Martową i podpisanego przez nich:

Ob. Zarzycka: Protokół z poprzedniego zebrania został sfinalizowany i podaje nieprawdziwe fakty. Wobec tego pracownicy wchodzący w skład komisji inwentaryzacyjnej wzięcej protokółową będą, a dzisiaj proszę o protokołowanie Ob. Mart. (...) Na najbliższy czas Ob. Zarzycka zleca wyłączenie prac przy spisie z natury (...) oraz oświadczyła, że zebranie skończono i następnie rzuciła pytanie: Czy pakietu mają coś do powiedzenia i czy są jakieś uwagi? Ob. Skibiński: Zebranie dopiero się zaczęło. Proszę o podanie konkretnych danych odnośnie sfinalizowanego protokołu. Proszę o zaprotokołowanie. Ob. Zarzycka: Nie, proszę tego nie protokołować (...). (Do Stępniewskiej — przyp. M. D.): A kto pani tutaj wypisywał zaproszenia i malował plakaty? (Chodziło o to, że w tym czasie mgr Stępniewska miała zajmować się inwentaryzacją — przyp. M. D.). Ob. Stępniewska starała się przypominając kierownicze okoliczności w jakich zlecała jej malowanie plakatów. Ob. Zarzycka

(...) przerywała i nie dala dojść do słowa Ob. Stępniewskiej mówiąc: To jest kłamstwo i bezcelność! Ob. Mart stwierdziła, że kierowniczką w jej obecności zleca malowanie plakatów Ob. Stępniewskiej, przypominając fakty, ale i jej również kierowniczką przerwała i oświadczyła Ob. Stępniewskiej: Mogła pani tego nie robić (...). Ob. Stępniewska (...) zmuszona była wyjść z zebrania co oznajmiła w słowach: Przepraszam, muszę wyjść, zaraz wrócę. Ob. Zarzycka oświadczyła: Tak, a teraz może pani zamilczeć, jak to było ciagle to szkole. Ob. Stępniewska stojąc w drzwiach odpowiedziała: Nieprawda. Stało się to w szkole tylko raz. Ob. Zarzycka śmiejąc się odpowiedziała z kpinami: Dobrze, dobrze, takim lepiej od pani koleżanek. (...) Ob. Zarzycka: Prace porządkowe i przygotowanie do spisu powinny być wykonywane przez sprzątaczkę i palaczy. (...) Ob. Sionkowski: Sądząc, że palacze i sprzątaczkę nie mogą wykonywać czynności, o których Pani mówi. W dziale historii znajduje się dużo starodruków w różnych językach oraz wiele starych dokumentów, których identyfikacja wymaga dużo czasu i korzystania z pomocy naukowych. Ob. Zarzycka: Czytacie i przeglądacie te książki, traciacie dużo czasu, to dobre się do poduszki. (...) Ob. Skibiński: Proszę o zaprotokołowanie, że odchodzę z okrzykiem protestu, nie zgadzam się na żadne poprawki umieszczone przez Panią do protokołu pisanego przez mnie z zebrania w dniu 1 marca 1971 r. Ob. Zarzycka: Z wszelkich zarzutów może się pan tłumaczyć przed przewodniczącym Zielińskim (przewodniczącym PMRN — przyp. M. D.) (...).

Tego samego dnia, jak się już rzekło, Alicja Stępniewska otrzymuje upomnienie za lekceważący, obraźliwy i niewłaściwy stosunek do kierownika. Dodatkową wymogę posiada fakt, że kierowniczką Muzeum doskonale wiedziała, iż Stępniewska przechodziła swego czasu ciężką chorobę serca i że teraz jeszcze od czasu do czasu odczuwa skutki dawnej choroby.

15 marca Alicja Stępniewska otrzymuje następne „pismo”: tym razem jest to tzw. ostrzeżenie w związku z niewykonaniem polecenia kierownika przyjęcia sprzętu działu oświatowego. Ow sprzet to rzućniki i projekторы wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych, na których Stępniewska się nie znała i których na razie nie miała gdzie złożyć. Być może nie obyło się wówczas bez jakiegoś „hardego” odczwania ze strony kierowniczkę, ale też atmosfera w Muzeum przypominała beczkę z prochem.

24 marca otrzymuje upomnienie Wacław Sionkowski za niewykonanie poleceń i złe wykonywanie poleceń. To ostatnie upomnienie w ogóle nie zostało uzgodnione z przewodniczącym Rady Zakładowej.

Stępniewska po otrzymaniu ostrzeżenia dostaje w nocy ataku serca. Zabiera ją pogotowie. Musi się leczyć, otrzymuje 20 dni zwolnienia.

7 kwietnia do chełmskiego muzeum przyjeżdża komisja związkowa z Lublina.

Protokół Komisji (fragmenty):

Wydział Kultury (PPRN — przyp. M. D.) wie o niewłaściwym i krzywdzącym stosunku kierowniczkę do pracowników (...). Przewodniczący Rady Zakładowej: Kierowniczką Muzeum nie uzgodniła z Radą ani awansów ani nagród. Zgodę na wypowiedzenie pracy Ob. Mart i udzielenie upomnienia Ob. Stępniewskiej wyraził Przewodniczący Rady i jego zastępca. Nie było zwolniane Plenum Rady. O udzieleniu upomnienia Ob. Sionkowskiemu przewodniczącemu nie wiedział. W Radzie nie ma przedstawiciela Muzeum.

(...) Pracownicy nie mają żadnego aparatu w Radzie Zakładowej, nie ma kogo przekazać swoich pretensji. Nie widzą możliwości ułożenia poprawnych stosunków z obecnym kierownictwem (...).

10 maja 1971 r. w „Wystąpieniu”, skierowanym do kierownika Wydziału Kultury PPRN w Chełmie, insp. pracy Jan Topczewski stawia wniosek o zdjęcie ze stanowiska kierownika Muzeum w Chełmie,

Krystyny Zarzyckiej. Pismo przypomina o wynikach inspekcji w 1969 roku oraz stwierdza:

Wizytując Muzeum w dniu 1.IV.1971, st. inspektor pracy ustalił podobne nieprawidłowości i wykroczenia, a mianowicie: 1) Wypowiedziano umowę o pracę jedynemu żywicielowi rodziny — bez protokołarnej zgody rady zakładowej. 2) Bez współdziałania z radą zakładową udzielano kar dyscyplinarnych. 3) Bez uzgodnienia z radą zakładową przyznawano nagrody pieniężne pracownikom. Powyższe ustalenia dowodzą o świadomym łamaniu obowiązujących przepisów bądź o braku umiejętności kierowania zakłosem pracy. (...) W rozmowie z komisją — przyp. M. D.) Ob. K. Zarzycka z autorytetem kierownika specjalistycznego zakładu — wyraża się o podległych sobie pracownikach. (...) Reasumując powyższe ustalenia, że Ob. Krystyna Zarzycka będąc na stanowisku Kierownika Muzeum w Chełmie — naruszyła w sposób rażący prawotwórczość oraz zasady współzycia społecznego w Państwie Ludowym.

26 maja z Muzeum Okręgowego Lublinie zostaje wysłane do Wydziału Kultury PPRN w Chełmie pismo następującej treści:

Dyrekcja Muzeum Okręgowego w Lublinie po przeanalizowaniu sytuacji jaka od dłuższego czasu istnieje w Muzeum w Chełmie, uważa, że dla dobra tej placówki należy odwołać ze stanowiska kierownika Muzeum ob. Krystynę Zarzycką. Uzasadniają swoje stanowisko Dyrekcja stwierdza, że ob. Zarzycka wykazuje nieumiejętność współzycia i kierowania ludźmi, nieznaną sobie gospodarczą sprawę, oraz beztroską w gospodarce finansowej (...).

Dyrekcja Muzeum Okręgowego proponuje w tymże piśmie czasowe powierzenie kierownictwa Stanisławowi Skibińskiemu ze względu na jego nienaganą pracę w Muzeum oraz autorytet jakim się cieszy w miejscowym środowisku.

Zanim jednak nadszedł ten dokument, Skibiński, Stępniewska i Sionkowski złożyli na piśmie rezygnację z pracy, prosząc o uwzględnienie dziesięciodniowego terminu wypowiedzenia. Wydział Kultury PPRN, kierowniczką Muzeum oraz kilka innych osób usiłowało przekonać Skibińskiego, aby wycofał rezygnację. Skibiński oświadczył jednak, że „w tych warunkach” nie może pracować i woli przyjąć pracę w archiwum, jakkolwiek — trzeba dodać — jego kwalifikacje predestynują go do pracy właśnie w Muzeum. Ostatecznie wszyscy troje odeszli. Martowej anulowano wypowiedzenie i przyjęto na poprzednie miejsce pracy, ponadto jako przedstawiciel Muzeum weszła ona w skład Rady Zakładowej — co było wynikiem decyzji komisji Zarządu Okręgu ZZPKiS. Na mocy decyzji tej samej komisji zmieniono przewodniczącą Rady Zakładowej.

Natomiast kierowniczką Muzeum pozostała na swoim stanowisku. W rozmowach z przedstawicielami władz chełmskich dowiedziałem się, że mgr Zarzycka ma sprawować swoją funkcję „na próbę” jeszcze przez rok, ponieważ jest to osoba pełna poświęcenia i oddana swej pracy. Jeżeli przez ten rok „nie sprawdzi się” — zostanie zwolniona.

Względa na to, że sprawę usiłuje się zakłajstrować półśrodkami i to nie najlepiej dobranymi. Wyraża się konsekwencje — bo tak należy przecież rozumieć zgodę na odejście trojga pracowników, nie licząc poprzednich — wobec jednej strony, natomiast żadnych wobec drugiej — mimo jasnego stanowiska dyrekcji Muzeum Okręgowego i Zarządu Głównego ZZPKiS. Wygląda również na to, że władze chełmskie zasłoniły sobie oczy ekspozycjami muzealnymi i nie widzą problemów ludzkich w tej walnej kulturalnej placówce. A to źle. Nie sądzę bowiem, aby w całej tej sprawie odgrywały rolę jakiegokolwiek względy osobiste — bo wtedy byłoby bardzo źle.

Mirosław Derecki

Kamena str. 3

Ewa Lipska:

myśli powtarzać by zostały po nas

Bohdan Zadura



Fot. J. Brozek

GDYBY mi przyszło określić pozycję Ewy Lipskiej w poezji młodego pokolenia, powiedziałbym chyba, iż jest ona analogiczna do tej, jaką zajmuje w poezji średniej Wisława Szymborska. Osobna i niewystawiona. Fakt, iż łączą te dwa nazwiska, nie wynika jedynie ze zdumiewającej jak na nasze stosunki jedyności krytyki w ocenie tych dwóch krakowskich poetek, ma on swe źródło również w pewnej zbliżoności poetyk Szymborskiej i Lipskiej, pewnym podobieństwie postaw w stosunku do świata i poezji. Świadomie piszę o zbliżoności i podobieństwie, a nie o zależności, wyraża się bowiem w wierszach Lipskiej bardziej autentyczne duchowe pokrewieństwo z Szymborską niż dostrzeżenie naśladownictwa czy powielanie pewnych wzorów. Ale o tym później.

Teraz dygresja natury ogólnej. Jestem na tyle chyba ważnym czytelnikiem prasy literackiej, by dostrzec pewne jej paradoksy. Pierwszy polega na tym, że prasy literackiej właściwie nie ma. Trudno uważać pogląd ten za specjalnie oryginalny i odkrywczy. Podobne stanowisko zajął niedawno na łamach „Poezji” Jerzy Kwiatkowski. Mamy mnogość pism społeczno-kulturalnych, to prawda, ale to nie to samo. Krytyką poetycką uprawianą na bieżąco rządzi przypadek — nawet zła recenzja bywa niekiedy uważana za sukces. Aby na podstawie recenzji wyrobić sobie zdanie o jakimś tomie, ową nie-literacką prasę czytać trzeba

od tak dawna, by znać już sympatie i antypatie recenzentów, bo pisma jako takie sympatii i antypatii artystycznych nie posiadają. Prowadzi to do sytuacji, w której słabsza książka tego samego autora zyskać może notę wyższą niż poprzednia i odwrotnie, z tej prostej przyczyny, że pisał o niej kto inny. Mechanizm ten zaobserwować można, śledząc przyjęcie „Sporu o milczenie” Witolda Maja, tomu, na którym zbyt mocno odbił się fakt, iż pisali o nim ludzie o zupełnie innych gustach niż ci, którzy omawiali debiutancki zeszyt poetycki „Smutek nad ogrodami”.

Ewa Lipska na brak szczęścia do krytyki uskarżać się nie może. Jej „Wiersze” Ryszard Matuszewski, sporządzający roczny przegląd wydarzeń poetyckich dla potrzeb „Rocznika Literackiego”, uznał za najlepszy debiut roku 1967, recenzent „Twórczości” witał w Lipskiej poetkę utalentowaną i zarazem charakterystyczną dla debiutantów lat sześćdziesiątych. Wszystko to, co napisano z okazji Lipskiej, było życzliwe, rzeczowe i — powiedzielibym — rzetelne. Może dlatego, że taka jest również jej poezja, ujmująca bezpretensjonalnością, której świadectwo dają już choćby same tytuły tomów. Skupienie, oszczędność, operowanie absurdem i paradoksem, skłonność do „poważnego żartu” i autoironii — oto cechy, które wskazują na związki tej poezji z twórczością Wisławy Szymborskiej. Jeśli był debiut Lipskiej charakterystyczny dla debiutantów lat sześćdziesiątych, to z racji ogólnych postaw, jakie znalazły w nim swój wyraz. Słusznie dostrzegał w

nim poeta starszego pokolenia tendencję do poszerzenia doświadczeń o przeszłość i opozycję wobec awangardy. „Wiersze” mieściły się w nurcie coraz częściej dochodzącego do głosu tzw. neoklasycyzmu, szczęśliwie jednak ich autorka uniknęła niezbyt przyjemnego dla poety zaszufladkowania i posadzeń o stylizatorstwo. Neoklasycyzm bardziej zresztą był u niej częścią światopoglądu niż poetyką, bardziej znamionował dojrzałość intelektualną niż formalną wirtuozerię.

*Cheesz wiedzieć to co będzie, i to co już było.
Zejdź z wiedzy nieumyślnie,
i z umyślnych tacierzeń.
Ani ustecz ani napród nie się
nie zmieniło
i to co masz po pracy masz
po lewej ręce.
(„Jesteśmy”)*

*Bo człowiek to jest zwykły człowiek:
jak pierwszy człowiek drugi człowiek
Jeden za drugim. Krok za krokiem.
Z wyrokiem czasu prasa i noce.
Tak samo: przedtem teraz potem.
(„Tak samo”)*

Cytaty te zdają się wskazywać na występowanie w poezji Lipskiej koncepcji czasu charakterystycznej dla neoklasycyzmu. Tak samo: przedtem teraz potem przywodzi na myśl Rymkiewiczowe „Jesteś Alkmeno, będziesz albo byłaś. Przekonanie o niezmienności pewnych spraw, o „wiecznej naturze rzeczy”, o przenikaniu się czasów i powtarzalności zjawisk wyłożone zostało expressis verbis w „Wolnym przekładzie z Szekspira”:

*W oczy mi patrzył wciąż tak samo
jak w tysiąc pierzastym roku rano
kiedy w szeroką moją suknię
twoje wplątało się kolano.*

*Miłość przez wieki się nie zmienia.
Kamień jak był tak jest
z kamienia.
Rzeka jak była tak jest rzeczna.
i wieczna miłość jest odwieczna.
(...)*

*Tak tak. Poswoili światła gąsń,
Tik tak. W miłości ulecznej rasnął
księżę współczesny. Przeszły
współczesnia przeszły. Jakby nie
odchodził chyłkiem. W noc wyrusza.
Jak gdyby w ręku trzymał jeszcze
swoją rolę podną Poloniuzą.*

Cytat ten dowodnie świadczy, że Lipskiej nieobca jest zarówno sztuka cienkiej ironii jak i poczucie dystansu. Nie to jednak dyktowało Matuszewskiemu słowa o pierwiastku irracjonalnym i o egzystencjalnym lęku, które dominują w poezji Lipskiej. Jej pierwszy tom składał się bowiem w głównej mierze z wierszy — by powiedzieć banalnie — dających wyraz niepokojom współczesnego człowieka. Tam, gdzie pisała Lipska w imieniu pokolenia („My”), dawała się nieco ponieść stereotypowej mitologii:

*My zazdrościmy tym
którzy w wysokich sznurowanych
przeszli przez wojnę.
Zazdrościmy
noce oszczędnie po małym
rozdzielanych między helmy
Strzałów jak ognie sztuczne do ust
Wulgarnych uczuć nagłego
ocelenia.*

Poetka ulegała presji czasów, swoistej modzie dyskusji o wojnie, które przetaczały się przez młodą literaturę. Niewykluczone, że owa zazdrość była zazdrością w mówioną — problem to zresztą wymagający oddzielnej analizy, bardziej zresztą chyba społecznej niż literackiej. Tam wszelako, gdzie dawała wyraz uczuciowej realności naszych czasów, gdzie kreśliła psychologiczne wizerunki uczuć miłosnych — powstawały wiersze znakomite, pełne ekspresji, będące już nie tylko zapowiedzią talentu, ale i jego realizacją. Wymieniłem tu trzeba „Zaręczyny”, „Bajkę”, „Pelnę”. Szczególne miejsce w poezji Lipskiej (odnosi się to również do „Drugiego zbioru wierszy”) zajmuje motyw domu, pełniący jak gdyby funkcję swego rodzaju utraczonych Wyp Szcześliwych. Problematyka utworów, w których on występuje, przywodzi na myśl pewne analogie z problematyką poezji Różewicza: samotność, obojętne, dewaluacja wartości, niemożność porozumienia. W wierszu „Cisza”, gdzie pada deszcz nieprzemakalny, przeprowadzający się po twarzach, dźwigający odrobinę drwiny, padają słowa nazywające sytuację po imieniu:

*Coraz trudniej jest teraz o komfort:
mieć sąsiadów przyjaceli rodzine.*

Debiutancki tom Lipskiej zamyka kilka wierszy, których centralnym motywem jest śmierć. O tym, w jaki sposób są one osławianiem nieznanego — sądzę, iż to jedna

z głównych funkcji sztuki w ogóle — i o tym, w jaki sposób buduje Lipska poetycki walor swego wiersza, przekonać się można analizując następujący fragment, a zwłaszcza jego pointę:

*Nie czekaj na mnie i stów nie
otuleraj.
Noc jest zbyt strona. Stron od
takiej nocy.
Noc jest zbyt strona i nie czekaj
na mnie.
Działaj nie przyjdzie. Dział muszę
umierać.
(„Bez tytułu”)*

Druga książka Lipskiej, która ukazała się w trzy lata po debiucie, nie zawiodła tych oczekiwań, jakie wzbudzały „Wiersze”. Przytoczyła ona pogłębienie zarysowanej poprzednio problematyki oraz udokonałone środki artystyczne. „Drugi zbiór wierszy” w większym jeszcze stopniu pozwala na określenie postawy autorki jako postaci uczestnika wydarzeń (całkowicie ich to życie lub świat) a nie jedynie świadka. Poetka Lipskiej jest poezją dyskursywną (myśli powtarzać by zostały po nas), wyrażającą światu proces w imię życia, w imię wartości ludzkich, zrazem — mimo dyskursywności — jest poezją, którą trudno opisać bez ryzyka popadnięcia w banał w rodzaju: „poetka jest przeciw wojnie”. Niechaj zdanie powyższe będzie usprawiedliwieniem ciągłego uciekania się do pomocy cytatów. To, przeciwnie czemu protestuje Lipska, najpełniej chyba wyrażone zostało w wierszu „Trochę wleczki”, charakterystycznym dla głównego konfliktu, jaki rozgrywa się w tej poezji, konfliktu między marzeniem a rzeczywistością, między wyobrażeniem o świecie wyniesionym z lektur a jego doświadczeniem, między pięknym kłamstwem odziedziczonej kultury a jawą, jakże odległą od tego, co czytaliśmy w książkach.

*Więc to nie tak. Ale za proste
popaść teraz w rozpacz. Albo
umrzeć.
Więc to nie tak. Ale mamy jeszcze
pięćni. I ułamek. I dynamit.
I trochę ułamek. I trochę ułamek
z której można zrobić od nowa
zupnie od nowa
świat.*

W sytuacji, w której ciągle słyszy się narzekania na dewaluację słowa poetyckiego, kiedy wciąż pisze się, że poezja żyje sprawami interesującymi mało kogo poza wąskim gronem poetów i krytyków, lektura Lipskiej jest krzepiąca i pouczająca. Może więc nie jest z poezją tak źle, jak głoszą obiegowe sądy, może nie chcemy jej czytać rzetelnie? „Drugi zbiór wierszy”, w którym tyle jest utworów o sprawach ogólnoludzkich, ponad-

Czyżby szkoła wylegarnią chochołów?

Dokończenie ze str. 1

Gdzie jest kolebka chochoła?

I tak oto rodzi się pytanie zasadnicze: kto tych chochołów wylał, wychował, przeskolił i wyszkolił? Ustrój? Oczywiście nie, bo na przykład w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, dokąd często nasz brat w ramach turystycznych zajeżdża, chochołów na ogół się nie spotyka, a przecież ustrój tam taki sam. A może winne trudne dzieciństwo narodu, czyli jego historia, naszpikowana wojnami, okupacjami, uczeniami sabotażem, wszelkimi zarządzeniami, szlacheckim popuszczaniem pasa na skutek obywatela i pijaństwa, karczmą rozpływającą chłopów jako ofiary sojuszu dziedzica z arystokratą i odradzającą się nierządnie w gospodzie ludowej ku rozpaczliwej wieskiej kobiecie? Wątpliwe, bo Węgrzy i Bułgarzy dużo trudniejszego dzieciństwo mieli pod Turkami, a mimo to ich kultura pijaństwa bez sarmackiej rozróby zasługuje na respekt. A zresztą nasza historia poszczycić się może nie tylko chochołami, ale bohaterami pracy i boju.

Może winę ponosi psychika narodu Polaków z ich słomianym zapalem, przerostem indywidualności, życiem z dnia na dzień, od zrywu do zrywu, od akcji do akcji, z radosnym odfajkowaniem? Psychika jednak zmienia się wraz z dynamicznymi przemianami gospodarezy, społecznymi i politycz-

nymi, jakim kraj nasz ustawicznie podlega.

Czyżby więc źródła plagi szukać należało w rodzicach, zaharowanych od rana do nocy i nie mających czasu na wychowanie rodzinnych dzieci, z których potem w konsekwencji wyrastają chochoły?

Hajze na rodziców!

Z badań M. Kozakiewicza zrelacjonowanych w „Głosie Nauczycielskim z dnia 6 czerwca br. „O równy start” wynika, że istnieje ścisła współzależność między poziomem wykształcenia rodziców, a średnią ocen szkolnych dziecka. Spójrzmy bowiem na następującą tabelkę obrazującą wyniki badań nad 500 absolwentami klas VIII w ubiegłym roku szkolnym:

Wykształcenie ojca	Średnia ocen dziecka z przedmiotów humanistycznych
niepełne podstawowe	3,2
pełne podstawowe	3,4
pełne średnie	4,3
pełne wyższe	4,2

Jak podaje M. Kozakiewicz w tejże relacji, badani testami uczniowie uplasowali się na listach lokat następująco: najlepsze wyniki osiągnęły dzieci pracowników umysłowych, na drugim miejscu znalazły się pociechy robotników wykształconych, a na trzecim — działwa chłopska. Po takiej anali-

zie roli rodziców w osiągnięciach dziecka aż się prosi, by ich obarczyć winą za niepokojący procent tych obywateli w naszym kraju, którzy — jak wynika z dyskusji, rozpetanej na łamach „Życia Warszawy” przez Wiesława Górnickiego, Zbigniewa Załuskiego i Ryszarda Dyonizjaka — z nieświadomości czy złej woli hamują nasz rozwój i postęp, tępną apatią paraliżującą myślenie i działanie.

W obronie taty i mamy

Weźmy jednak rodziców w obronę. Nie mogliby przecież pracować dla kraju w swym zawodzie, gdyby wiecznie zajmowali się swoimi dziećmi. W pełni zaufania więc oddają swe skarby szkole i nierządnie oboje ruszają do ciężkiej pracy w instytucji, fabryce, warsztacie, przedsiębiorstwie. Czytając prasę, truchleją na myśl, że ich latorośle mogłyby się stać chochołami, to jest twarami przeżartymi inercją, zawiścią, utyskiwaniem, arogancją, lenistwem i głupotą, zgorzkniałymi i odwalającymi obowiązki w sposób zrutyinizowany. Czyżby kochający rodzice chcieli widzieć u swego syna czy córki cechy, ukazane przez W. Górnickiego: gębę cynicznego koleśka, szklane od piwa oczki, słomianą rękę wyciągniętą po forszę, a na szmacianym tle powróło z napisem: zobaczmy, poczekamy? I — jakby dodał Z. Załuski — stawy zardzewiałe od bezruchu, mózgi uschłe od rutyny, twarze stężale od gromkiego frazesu?

Z dwójga złego na pewno woleliby widzieć w swym dziecku samozwańczego rewizora na wzór Janusza Prędkiego, co to bezinteres-

ownie począł tropić chochołów w PKS Radomsko niczym sławetny kapitan z Köpenick. Toteż mają pretensje do szkoły podstawowej i średniej, że nie koryguje wadliwych postaw młodego pokolenia, wyniesionych z domu, w którym nie zawsze znaleźć się może fachowiec od wychowania, czyli kształtowania postaw.

Zdaniem atakowanych rodziców — szkoła nie tylko nie wychowuje, ale nawet nie naucza przyzwolnie, skoro na dobrą sprawę połowa tylko kandydatów zdaje pomyślnie egzamin na wyższe uczelnie i to bynajmniej nie dlatego, że szkolnictwo wyższe ze 100 000 kandydatów przyjąć może jedynie połowę, ale dlatego, że kandydaci faktycznie nie są przygotowani po 12 latach nauki według programów przeładowanych, a więc żądających od młodzieży, by umiała więcej, a nie mniej niż trzeba. Marazm, znieczulica, a także — jak mówią naukowcy — negatywna dezintegracja osobowości — to (zdaniem wielu rodziców oczyszczających samych siebie od odpowiedzialności) wina przede wszystkim szkoły, gdzie nauczyciel i kolega większym cieszą się autorytetem niż statystyczny tata i statystyczna mama.

Głos z Puszczykowa

K. Wlembkiewicz z Puszczykowa przesłał do „Kierunków” (1971, nr 30, s. 10) list, w którym między innymi pisze:

Ludzie na kierowniczych stanowiskach: kierownicy, dyrektorzy, inspektorzy szkolni, wizytatorzy i kuratorzy szkolni, którym obowiązkowo i administracyjne niewiele czasu pozostawiają na nadzór pedagogiczny, powinni pójść ze szkół i ze szkolnictwa precz.

Co oni mają do roboty w szkole? Odpowiedzialni są za pracę, której uwalnie nie znają, więc jak mogą odpowiadać? Lekcji własnych zupełnie nie prowadzą (...). W szkole są gośćmi, a cała ich praca — to posiedzenia, sesje, zebrania itd. (...) A nauczyciel-kierownik czy dyrektor ma czas na lekturę i przygotowanie się do lekcji? (...) Nie mam ze szkołą nic wspólnego, ale słyszę i widzę różne aspekty pracy szkol-

nej. Na przykład: młoda osoba prowadząca pierwszą klasę i prowadzi ślicznie (...). Po paru miesiącach zdaje egzamin kwalifikacyjny i wszystko odwraca się o 180 stopni. Lekcje są nie przygotowane i nieudane. Co parę dni jest nieobecna, spóźnia się i pracę swą spycha. No bo? Egzamin jest, to można przestać pracować. Czy to się nazywa uczciwą pracą? Nauczyła się, patrząc na kierownika (...). Przecież uczeń, który widzi, że pan kierownik czy dyrektor zamiast na swoją lekcję idzie na posiedzenie czy naradę, absolutnie nie ma dobrego wzoru wychowawczego i uczy się lekceważąc własną pracę (...). Od paru lat, jak słyszałem, rodzice skarżą się, że dzieci przy egzaminach do szkół średnich obcinają się z przedmiotów, których uczą kierownicy... Mam pretensję i do władz szkolnych, zajętych wszystkim innym, tylko nie szkolami i wychowaniem młodzieży, i do wszystkich, którzy mają uczyć i wychowywać, świećcie dobrym przykładem, a właśnie tego nie robią.

Przytoczyłem celowo głos nie publicyści, nie nauczyciela, nie oświatowca, nie badacza z dziedziny nauk pedagogicznych, ale jednego z wielu obywateli PRL spoza szkoły, który w szkole między innymi dostrzegł nie tylko wylegarnię chochołów, ale i rasowych chochołów wśród nadzoru, kierownictwa i samych nauczycieli, co złym przykładem wysiadają chochołatką w postaci swych wychowanków. Przypomina się tu sławna wypowiedź ankietowa pewnej nauczycielki obiegająca swego czasu prasę: Nie czytają, bo się dokształcałem. Dziwnie się to, zaiste, zbiega z początkiem żywotem nauczycielki, która z koleżanką nie czyta, bo ma egzamin kwalifikacyjny poza sobą, więc czuje się już dokształconą tudzież zwolnioną od pracy nad sobą, uczniami i lekcjami.

Próba obrony szkoły

Zbliża się plenum KC PZPR, które ma być poświęcone problematyce młodzieży, a tym samym szkoły jako organizatora i koordynatora procesu dydaktyczno-wychowawczego. Podobnie ważne było VII Plenum w styczniu 1961 roku, kiedy to

czasowych powiedziec by można, naznaczony jest również silnie piętnem polskiego tu i teraz. Trudno nie dostrzec w nim odbicia typowych nastrojów społeczeństwa polskiego lat sześćdziesiątych. Ukazuje on to osobliwe rozdwojenie jaźni, któremu podlegaliśmy, owe dwie twarze, z których jedną odbijało lustro pragnień, drugą lustro niemożności.

Mówimy: trzeba zacząć żyć.
Myślimy: nie się nie da zrobić.

(„Sytuacja”)

Mogę głośno mówić albo krzyknąć
ale muszę milczeć.

(„Stół rodzinny”)

Raz jeszcze wypada podkreślić wielką dojrzałość Lipskiej. Niepokoję, którym daje wyraz — a są w jej dorobku wiersze z wyraźnym pogłosem katastroficznym — nie są żywiołem, nad którym autorka „Zawracajmy” traciłaby panowanie. W ironicznym dyskursie, w absurdalnej anegdocie o parabolicznym sensie („Rusząją konie”), w historiozoficznej grotesce (znakomita i zabawna „Klasa I”) realizuje się — jeśli nie liczyć erotyków — najpełniej jej talent. „Drugiemu zbiorowi wierszy” zarzucił ktoś przegadanie, nadmierne rozbudowanie obrazów, osłabiające bezpośredniość i siłę oddziaływania. Choć zarzut ten nie jest pozbawiony pewnej słuszności, drugi tomik Lipskiej zawiera również utwory świadczące o czymś przeciwnym, utwory bezbłędnie skondensowane, pełne siły poetyckiej, których przykładem może być wiersz „Zdarzenia”. Nie mogę oprzeć się pokusie zacytowania przynajmniej ostatniej jego strofy:

Pierwszą miłość uprzątnął ze
schodów dozorca.
Najtych myśli latawiec tłucze się
po domu.
Dzieci idą do szkoły. Kobiety do
dzieci.
A do kobiet mężczyźni. Życie toczy
się dalej.

Swymi dwoma książkami zdobyła Lipska pozycję — jak pisałem na wstępie — osobną i niekwestionowaną. Za drugą otrzymała na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi nagrodę za najlepszy tom roku. Współlaureatem tej nagrody został Stanisław Barańczak, również jedno z najciekawszych nazwisk w młodej poezji i krytyce. Ale o nim już innym razem.

NIE da się ukryć, że ubiegły rok szkolny należał do serii kolejnych lat „tłustych” szkolnictwa Lubelszczyzny. Nie mówię tego, powodowany jakimś partykularnym patriotyzmem, lecz w oparciu o realne i sprawdzalne rezultaty, dotyczące zresztą zarówno kryterium niejako przeciętności szkolnej (matury), jak i sprawdzianu uczniów najlepszych (olimpiady).

Oto bowiem — według rozpoznania Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — właśnie Lubelszczyzna, obok woj. wrocławskiego i miasta Warszawy, uzyskała najlepsze wyniki egzaminów maturalnych. Dość powiedzieć, że przeciętny krajowy wskaźnik uczniów, którzy nie zdali matury, wynosi 19 proc., dla Lubelszczyzny zaś — tylko 11 proc. Jeśli natomiast idzie o olimpiady, to nasze województwo, podobnie jak kieleckie, wprowadziło ogółem do finałów 12 uczniów, ustępując tylko Warszawie (21 uczniów). A trzeba wiedzieć, że aż siedem województw wprowadziło do finałów zaledwie po jednej osobie. W tym kontekście najlepiej spisali się „olimpijczyki” lubelscy w zakresie chemii i matematyki. Takie są fakty.

Gdyby szło o minione egzaminy do szkół średnich, to zostali przyjęci wszyscy, którzy je zdali. Ponadto po raz pierwszy wprowadzono zasadę, że uczeń mający same oceny bardzo dobre na świadectwie końcowym w klasie VII oraz na półroczu w klasie VIII, taki uczeń zostaje przyjęty do szkoły średniej bez egzaminów wstępnych. W samym Lublinie do liceów ogólnokształcących dostało się w ten sposób 101 uczniów. „Wiedza zaczyna się opłacać” — powiada Tadeusz Kącki, kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego. Trzeba tę świadomość rozwijać i pogłębiać wśród młodzieży. Dlatego wspomniana zasada będzie odąd regułą.

W ogóle bowiem podstawowym zadaniem, przed jakim staje szkolnictwo Lubelszczyzny w pięcioletcu 1971—1975, jest nie tyle, a w każdym razie nie tylko, ilościowa poprawa pracy szkół, ale przede wszystkim jakościowa poprawa tej pracy, na co podobno — według japońskich obliczeń — wpływa aż 900 rozmaitych czynników. Jeśli nawet ową liczbę, zrodzoną przecież w innych warunkach ustrojowych i społecznych, uznać za przesadną, to i tak zadanie nie należy do łatwych. Zaś wstępny optymizm tego artykułu wcale nie oznacza, że wszystko jest już tak dobrze.

Nowa i lepsza jakość w szkole — nawet gdyby chwilowo zostawić na boku słynny już eksperyment lubelski — oznacza dziś większe budynki szkolne, obszerniejsze klasy, nowoczesne pomoce, ciągle uzupełniane i konserwowane, oznacza

więcej odpowiednią bazę materialną, a zatem ostatecznie — odpowiednie fundusze, nowe inwestycje. Sporo się tutaj robi, jeszcze więcej planuje, ale nadal wiele jest potrzeb palących, o których banalnie już mówić.

Ot choćby jak myśleć o zwiększeniu efektywności nauczania, skoro problem selekcji dzieci upośledzonych umysłowo w szkołach podstawowych rozbiła się o brak zakładów i szkół specjalnych. W ubiegłym roku szkolnym na Lubelszczyźnie nie można było przyjąć do szkół specjalnych 50 dzieci umysłowo upośledzonych, albowiem zabrakło dla nich miejsc. W ogóle w

Ze uparłem się narzekać mimo całkiem obiecującego wstępu? Ależ skąd, idzie tylko o to, by zaspekowane zostały pewne rudymenarne potrzeby i konieczności, które jeszcze tu i ówdzie istnieją. Dopiero wtedy będzie można rozsądnie, a zatem realnie myśleć o problemach jakościowych i o metodycznej ich organizacji w ramach eksperymentu pedagogicznego. Słowem — należy wprawdzie zlikwidować dysproporcje o charakterze niejako przedeksperymentalnym.

Ubiegły rok szkolny był zresztą w części temu poświęcony, miał dla lubelskiego szkolnictwa charakter przejściowy i szczególny. Zam-

plywu informacji naukowej. Nauczyciel przestał być — odwrotnie niż w XIX wieku — jedynym przekazywaczem wiedzy, musi pełnić także funkcje „systematyzatora” wiadomości przekazywanych szerszym frontem przez środki masowego przekazu.

To są przeświadczenia najgłośniejsze. W nowy okres szkolnictwa Lubelszczyzny nie wkrocza z pałkami rękami. Mamy za sobą lata eksperymentu niejako wycinkowego, przed sobą zaś — okres jego wdrażania w szerszą praktykę. Okres chyba jeszcze trudniejszy niż poprzedni, choć otwierający wcale realne perspektywy.

Przed nowym rokiem szkolnym

Po eksperymentach czas na praktykę

Maciej Podgórski

szkołach specjalnych uczy się w naszym województwie 1829 dzieci, a powinno pobierać naukę — około 4500. Od 1 września będzie funkcjonował we Włodawie zakład specjalny (80 miejsc), od lutego 1972 roku w Tomaszowie (150 miejsc), jeśli przedsięwzięcie budowlane z Bilgoraja przekaże obiekt władzom szkolnym. Przygotowuje się też założenia projektowe dla nowych placówek tego typu.

Poruszyłem problem bolesny, choć może akurat nie najbardziej centralny. Na tym jednak przykładzie dobrze widać, czego nam brakuje. Zaplanowano np. 94 oddziały przedszkolne przy szkołach podstawowych, zorganizowano — 15 (mowa o roku 1970/71). Znowu brak środków finansowych. A trzeba pamiętać, że przynajmniej część finansów na potrzeby szkolnictwa leży w gestii terenowych rad narodowych, które jednak niechętnie przeznaczają nadwyżki budżetowe na te cele. Dodajmy, iż ogólnie najbardziej upośledzone pod względem nakładów finansowych są licea ogólnokształcące. Niewesoła też jest sytuacja — to już sprawa całkiem pozainwestycyjna — gdyby szło o zabezpieczenie środków na zorganizowanie formy dowożenia do szkół tych dzieci, które mają ponadustawowe odległości między domem a szkołą. To także są fakty. Tyle iż mniej krępujące.

knął bowiem kilkuletni okres eksperymentowania w wybranych szkołach i wybranych przedmiotach nauczania, stał się etapem przygotowawczym do stopniowego upowszechnienia eksperymentu, w którym razie założenia, które zostały dostatecznie zweryfikowane. Okresem upowszechnienia będą natomiast lata 1971—1975.

Tak więc rok ubiegły to czas przygotowań teoretycznych i organizacyjnych, co odnosi się zarówno do nauczycieli, jak i pracowników nadzoru pedagogicznego. To okres intensywnego szkolenia (tylko w czasie minionych wakacji przeszkolono 1275 nauczycieli Lubelszczyzny na 24 kursach trzytygodniowych). Odbywały się konferencje, sesje, narady, wydano szereg biuletynów zarządzeń, materiałów pomocniczych i tak dalej.

U progu nowej pięcioletki w szkolnictwie stajemy z realnym przeświadczeniem, iż jednym z zasadniczych celów szkoły jest nie tylko wypuszczenie jak największej ilości absolwentów, lecz przede wszystkim kształcenie ludzi posiadających wiedzę ugruntowaną, usystematyzowaną i pogłębiającą, ludzi, którzy zdobyli trwałe dyspozycje do samokształcenia. Dziś bowiem, kiedy wiedza w krótkich odstępach czasu podwaja się, szkoła nie jest w stanie zapewnić całkowicie pełnego i stale aktualnego do-

Oto niedawno wydano — do użytku służbowego” w 3 tys. egzemplarzy — „Program drugiego etapu lubelskiego eksperymentu pedagogicznego 1971—1975”. Pod koniec sierpnia ma on się znaleźć w szkołach. Będą opracowane plany odcinowe dla poszczególnych typów szkół i poszczególnych przedmiotów. Ale i istniejący już program przynosi całkiem konkretne wskazówki i problemy. M. in. w zakresie doskonalenia pracy wychowawczej, kształcenia, dokształcania i doskonalenia kadry pedagogicznej, usprawnienia systemu kierowania szkolnictwem, współpracy szkolnictwa z placówkami naukowo-badawczymi oraz zabezpieczenia bazy materialnej.

Słusznie zauważono w programie: „W organizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego w szkołach i placówkach opiekuńczo-wychowawczych dla dzieci i młodzieży, a także w szkołach i placówkach dokształcających dorosłych, tkwią znaczne rezerwy. Wykorzystanie tych rezerw, ciągłe doskonalenie funkcjonowania szkół i placówek wychowawczych, wprowadzenie ich na drogę postępu może znacznie pomóc — chociaż, niestety, efekty postępu w tej dziedzinie nie będą

Dokończenie na str. 8

przygotowano grunt pod ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania z dnia 15 lipca 1961 roku ugruntowującą takie cechy szkolnictwa PRL, jako jednolitość, demokracja, państwowość, świeckość, bezpłatność, równouprawnienie narodowe w dostępie do szkoły, powszechność oświaty. Temu nurtowi oświaty szkolnej, która obejmuje szkolnictwo młodzieżowe i dla pracujących, stacjonarne, korespondencyjne, zaoczne, wieczorowe i eksternistyczne, sekunduje potężny nurt oświaty pozaszkolnej, obejmującej uniwersytety dla rodziców, kursy podypłomowe i doskonalenia praktycznozawodowego, uniwersytety robotnicze i ludowe, wszechnice radiowe i telewizyjne, odczyty, kluby, świetlice i wszelkie inne środki masowego przekazu z książką, prasą, filmem i teatrem na czele.

Szkola nie jest sama, bo wspomaga ją oświata pozaszkolna. Skąd więc biorą się tu i ówdzie chocholby w szkole będącej oczkiem w głowie najwyższych czynników i mogącej się poszczycić imponującym rozmachem w skali światowej, o czym świadczą informatorzy i roczniki UNESCO? Skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle, że aż powołano Komitet Ekspertów do Opracowania Raportu o Stanie Oświaty PRL?

Jeśli świadomość jest kształtowana przez byt, oświata i wychowanie zaś — to formy świadomości społecznej, wobec tego może w warunkach bytowych szukać trzeba nasion, z których wyrastają chocholby szkolne. Warunki bytowe pracowników oświaty mogą wywarzać w ich świadomości przeświadczenie, że jaka placca, taka praca, stąd owo spychanie roboty na innych, gonienie za chałturą, bo szkoła się nie zawałi, jakoś to będzie, no i „czy się stał, czy się leży, dwa patyki się należy”. Chyba przede wszystkim ekonomści są w stanie rozstrzygnąć wiele problemów i wpłynąć zasadniczo na uatrakcyjnienie zawodu nauczycielskiego, który by dzięki swej opłacalności przyciągał masy wartościowych kandydatów, ludzi z prawdziwym powołaniem i zacięciem pedagogicznym w imię selekcji pozytywnej. Ostatni „nabór” do wyż-

szych szkół nauczycielskich świadczą, że z braku kandydatów grozi tendencja do przyjmowania niemal wszystkich zgłaszających się. Deficyt ten zmusza do powtórnej rekrutacji we wrześniu, kiedy to wśród kandydatów na nauczycieli pojawiają się ci, którzy nie dostali się w lipcu na inne uczelnie, a więc w skali statystycznej będą to istoty „przypadkowe i odpadkowe”, jak ktoś zjadliwie i może zbyt pochopnie osądził.

Jednakże potrójna krzywdę wyrządza się nauczycielstwu i władzom szkolnym twierdząc, że w szkole „chochol uczy chochoła pod nadzorem chochoła”. Jest to logiczny błąd pochopnej generalizacji, bezmyślnego uogólnienia. Jest to również błąd psychologiczny, skoro wystarczy jeden typ negatywny wśród stu pozytywnych, by całą setkę potępić w czambuł w porwie emocjonalnej reakcji żalu i oburzenia. Tkwą tu także błąd socjologiczny, bo się nie dostrzega, że społeczeństwo skąpi nie tylko bodźców ekonomicznych, ale i szlachetnej motywacji pozytywnej: nauczycielka pracowała dobrze, by zdać egzamin kwalifikacyjny, który jest dla niej symbolem społecznego uznania. Po egzaminie jednak „chocholala”, bo już nie stało dopingujących mirażu uznania ze strony nadzoru pedagogicznego, kolegów, uczniów, rodziców. Ten sam człowiek zatem w różnych układach staje się albo bohaterem pracy i kandydatem do odznaczenia, albo brakorobem.

Ostatnia sfera maturalna w Kamiennej Górze, gdzie obłani na maturze uczniowie rzucili wspólnie z rodzicami okarszenie na nauczycieli, jakoby roznosili po sali ściągnięty swym faworytom — i to pochodzenia niechłopskiego i nierobotniczego — wywołala falę zszepczanych plotek. Poczęto głośnić fame, że w każdej szkole działają mechanizmy ścigania maturalnego, na które czynniki pedagogiczne patrzy przez palce, by nie obniżać procentu sprawności w oczach władz, w Kamiennej Górze zaś wszedł w grę po prostu pechowy układ natury socjologicznej oraz przerosł za-

wieści i ambicji osób poszkodowanych. Dobro społeczne wymaga zbadania, jak wielka (lub jak mała) jest odrobina prawdy w takim mniemaniu.

Gdyby spojrzeć beznamiętnie i z lotu ptaka na szkolnictwo polskie, więcej tam znajdzie się jasných niż ciemnych plam, a że te ciemne plamy drażnią, może to i dobrze, bo powszechnie pragnie się, by wszystko było jasne. Tysiące nauczycieli pracują ofiarnie i bez rozgłosu, choć nieliczni tylko otrzymują symboliczne odznaczenia.

Wystarczy jednak wyskok młodzieńczego nauczyciela czy dziewczęcej nauczycielki, którzy do licealistów pod wąsem lub do licealistek parę jeno lat młodszych odezwą się obelżywie i spotkają się ze strony przewrażliwionych wyrostków (a może ambilnej młodzieży) z reakcją w postaci demonstracyjnego sabotowania przedmiotu nauczania, a już konflikt gotowy: porządkujący nauczyciel odgrywa się obniżaniem ocen, cały zaś incydent komentowany jest przez środowisko na niekorzyść szkoły, stosunków w gronie i Boga ducha winnych pedagogów, znanych ze swej wzorowej postawy. Można by, oczywiście, usatysfakcjonować opinię publiczną przeniesieniem owych niefortunnych nauczycieli do innej pracy lub pozbyciem się ich ze szkoły, kto jednak przyjdzie na ich miejsce, kto zwróci koszty ich kształcenia do zawodu? Czyż grono pedagogiczne nie powinno ich wychować, a środowisko szkolne i pozaszkolne oddziaływać odpowiednią atmosferą? Adeptci sztuki pedagogicznej odzywają się i odnoszą do wychowanków tak, jak się do nich ongi odzywano i odnoszono.

Młodzież szkolna też jest bardzo różna i częściej poza szkołą niż w szkole dostrzega gorszące incydenty, obserwując dorosłych w skle-



Fot. P. Treger

pach, urzędach, autobusach, szpitalach, przychodniach i na ulicy. Zaklęty taniec chochoła narodowego przerwać chyba można stworzeniem drugiego frontu wychowawczego — właśnie poza szkołą i wspólnie ze szkołą — w imię realizmu dynamicznego jako aktualnego prądu odnowy i w duchu właściwie pojętej edukacji narodowej. A edukacja narodowa — to między

innymi walka z protekcjonizmem, lipówkarstwem, niefrasobliwym stosunkiem do mienia i obowiązków, to kształtowanie postawy odpowiedzialnej, aktywnej i twórczej na miarę naszych czasów.

Bohdan Komorowski

Kamena str. 5

Honory bez orderów

Stefan Marczo

NIE byłoby epopei tego rodu, gdyby Roman Honory, urodzony w krasnostawskim, z pochodzenia chłop, w 1905 roku świeżo wyświęcony-kleryk misjonarz z Krakowa, nie zrzucił był niebawem sutanny i idąc za głosem serca, ożenił się z Zofią M., ziemianką. Owcześnie losy ostatecznie zawiadły Romanem Honorem do Bartoszych (dziś Wojciechów), kolonii niemieckiej w Ziemi Włodawskiej, gdzie jako jeden z trzech tylko Polaków uprawiał rolę w niewielkim folwarku, wykupionym od kolonistów niemieckiego. Duchowny z wykształcenia, wyrobił w sobie jednak radykalne poglądy, które przekazał pięciu synom i czterem córkom.

Gdy w 1939 roku Niemcy wkroczyli do Bartoszych, zaczęły się przesładowania Honorych. Pod koniec września zawiązał do kolonii oddział jazdy niemieckiej, i cała rodzina ledwo uniknęła rozstrzelania, gdyż dowódca oddziału widocznie poinformowano, że któryś z Honorych posiada broń.

Syn Romana, Zenon Honory, główny bohater artykułu, rzeczywiście otrzymał broń wojskową w marcu 1939 roku w Hańsku (siedzioba gminy) po wprowadzeniu cichej, częściowej mobilizacji. Broń wydano niektórym obywatelom do zwalczania dywersji na tyłach dla obrony rejonu Hańska. Zenon brał udział w likwidacji niemieckich skoczków spadochronowych, którzy zostali zrzucony 9 lub 10 września 1939 roku w rejonie Hańska, a następnie

w ujęciu niemieckich lotników, którzy wyładowali przymusowo na tyłach wojska Polskiego dnia 14 września w rejonie Kozigóry pow. Chełm Lub. i usiłovali startować. Ujęto wówczas lotników, wzięto samolot oraz aresztowano kolonistów niemieckich, współdziałających z lotnikami. Młody Honory był w tej akcji bardzo aktywny. Zenon zdał jednak otrzymaną broń we wrześniu 1939 r. w Sawinie władzom polskim, gdy grupa operacyjna gen. Kleeberga odeszła na północ. Zachował natomiast większą ilość broni, którą pozostawił demobilizujące się pod koniec kampanii wrześniowej oddziały Wojska Polskiego. O zachowaniu tej broni nikt jednak, oprócz rodziny Honorych, nie wiedział.

Po upływie półtora roku śmierć z ręki wroga zajaśniała do rodziny Honorych. Zięć Romana, Władysław Posłuszny, ślusarz z zawodu, zamieszkały w Krychowcu, wstąpił do formującej się tam placówki ZWZ i dokonywał naprawy broni wojskowej dla organizacji. Zandarmi i tzw. „policja ukraińska” złapali go, gdy naprawiał uszkodzony pistolet. Po wstępnych torturach, w czasie których nikogo nie wydał, został wywieziony do Chełma na Borek i tam po niedługim czasie zamordowany przez oprawców.

Od tego czasu Zenon Honory, podejrzany poprzednio o posiadanie broni, nie mógł już spać w domu. Ostrzeżono go, by się miał na baczność, gdyż konfidentki zaczynają już wokół niego węszyć. I tak zaczęło się jego półkonspiracyjne życie. Bywał w różnych miejscowościach, podpatrywał wszędzie, co się dzieje, miał dobre rozeznanie okolicy. Zenon Honory i jego rodzina dopiero później ocenili, jak bardzo przydała się jego orientacja w terenie.

Udział Honorych w walkach z okupantem nabierał rozmachu, gdy zza Buga zaczęły przybywać w rejon Hańska radzieckie oddziały partyzanckie oraz gdy aktywizowały się polskie oddziały partyzanckie. Kiedy w 1943 roku zatrzymały się w okolicy oddziały „Jaremy” i „Satanowskiego”, Zenon Honory kierował do nich zbiegłych z niewoli, jeńców radzieckich oraz więźniów, którzy uciekli z obozu zagłady i karnych obozów pracy.

Potrzeby konspiracji w zakresie zaopatrzenia „spalonych” ludzi w dokumenty legalizacyjne zaspokajał brat Zenona, Aleksander, zatrudniony w tym celu w Kreislandwirtschaftsamt w Włodawie. Zbierał on ponadto informacje o charakterze wywiadowczym.

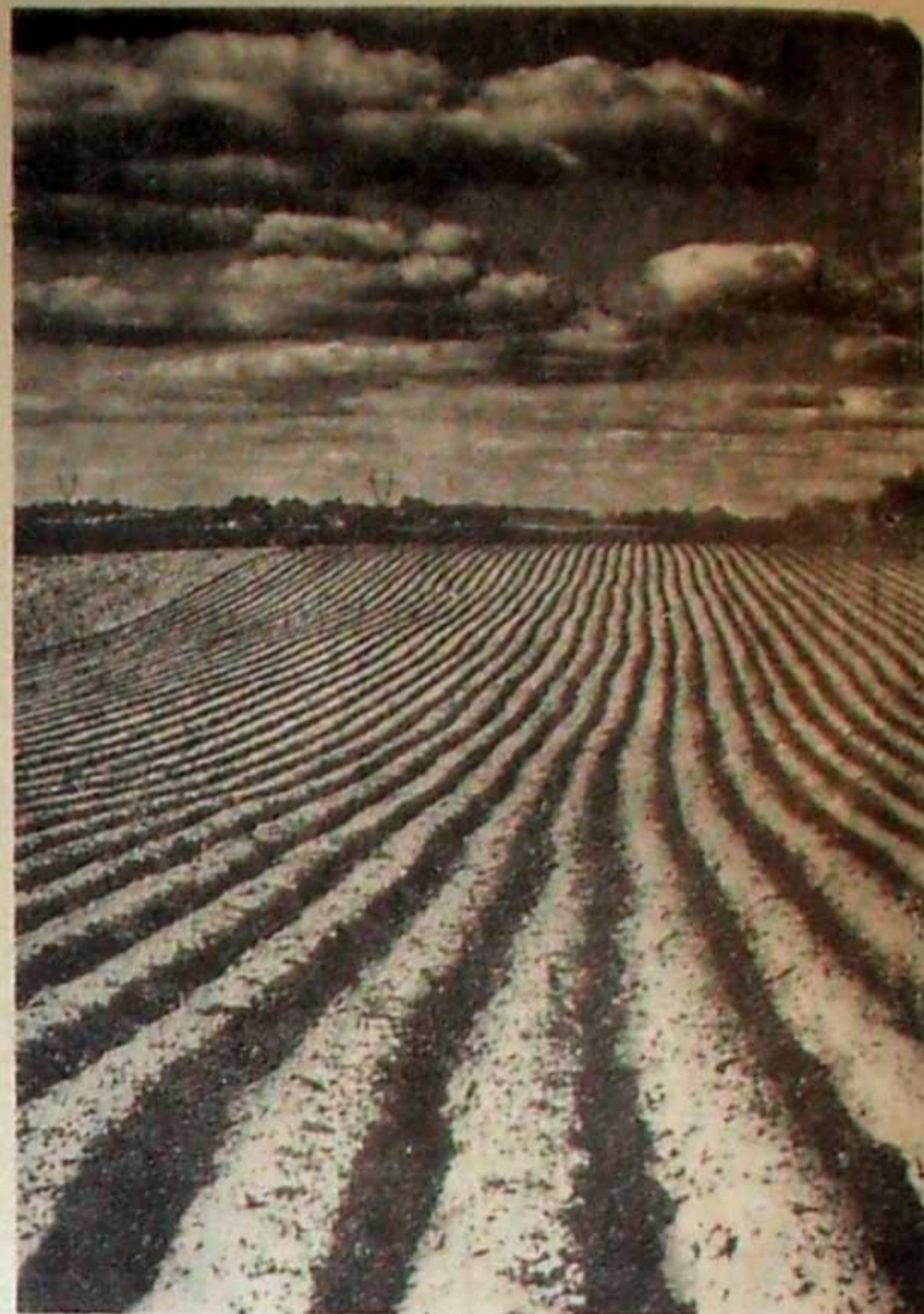
W końcu stycznia lub na początku lutego 1944 roku do majątku Honorych przybył nocą pierwszy radziecki oddział partyzancki ze zgrupowania ppłk. Banowa (ps. „Czornyj”), które stopniowo doko-

nywało przeprawy swych pododdziałów przez Bug na teren powiatów włodawskiego, chełmskiego, parczewskiego, radzyńskiego i innych. Pododdziałem AK liczącym 30 partyzantów, którzy zjawili się w domu Honorych, dowodził kpt. „Mars”. W okresie kwaterowania u Honorego oddziału „Marsa” w sąsiedniej wsi Serniawy pojawiło się dwa oficerów z kwaterymistrzostwa jednostki Wehrmachtu. Kpt. „Mars” wysłał zaraz dwóch miejscowych partyzantów, tj. Zenona Honorego i Chwałuka, celem likwidacji niemieckich oficerów. Zenon Honory, orientujący się świetnie w swoim terenie, błyskawicznie zrobił w odpowiednim miejscu zasadzkę. Gdy nadjechali hitlerowscy oficerowie, partyzanci wyskoczyli z ukrycia i krótkimi seriami zlikwidowali wroga, zdobywając 1 konia, 2 pistolety i cenne wówczas mapy sztabowe. Tak zaczęła się bojowa współpraca Zenona i jego rodziny z partyzantką.

W domu Honorych mieścił się na przełomie marca i kwietnia 1944 roku sztab partyzancki ppłk. Banowa. Przebywał tu nie tylko sam Banow („Czornyj”), lecz również jego zastępcy: mjr „Gora”, kpt. „Step” oraz dowódcy pododdziałów: „Wołodia”, „Anatol” i inni. „Wojskowy Przegląd Historyczny” (nr 3 z 1959 r.) podkreśla, że „Czornyj” i ludzie z jego sztabu najbardziej żyli się z rodziną Romana Honorego z kolonii Bartoszycha, leżącej na partyzanckim szlaku, prowadzącym z rejonu lasów parczewskich poprzez Urszulin do Buga. Roman Honory i jego synowie Zenon i Aleksander, wykorzystując miejscowe kontakty i możliwości, z narażeniem życia wykonali wiele bardzo trudnych poleceń „Czornego” (s. 53).

Bieg wypadków wojennych na froncie wschodnim w 1944 roku, zwłaszcza przygotowania do wielkiej ofensywy Armii Radzieckiej na Białorusi, stawały przed zgrupowaniem „Czornego” określone zadania. Sprowadzały się one do intensywnych działań dywersyjno-wywiadowczych na tyłach wojsk niemieckich na Lubelszczyźnie, szczególnie na obszarach położonych między Bugiem i Wisłą, w granicach powiatów Chełm, Biela Podlaska i Łuków.

W czerwcu 1944 roku jeden z pododdziałów, jak wynika z relacji Zenona Honorego, otrzymał rozkaz ppłk. „Czornego”, aby z zaskoczenia zaatakował i rozbił niemiecką kolumnę motorową, która miała być przetrzona z Chełma do Włodawy. Lejtnant „Harytonow” przygotował zasadzkę w lesie przed Sawinem. Po zbliżeniu się kolumny samochodowej wroga partyzanci radzieccy otworzyli gwałtowny ogień. Zenon, który uczestniczył w tej akcji, stwierdza, że część wozów rozbito i



Fot. Z. Zuga

spalono, a część kolumny zawróciła do Chełma. W wyniku gwałtownego ataku zginęło 40 Niemców, w tym mjr dywizji SS „Wiking”; wzięto kilku jeńców.

Po tej akcji sztab zgrupowania, liczącego wówczas około 1500 żołnierzy, zakwaterował we wsi Wola Wereszczyńska. Przy sztabie pozostawało wtedy około 50 ludzi. Zenon Honory, który również był wtedy przy sztabie „Czornego”, opowiada, że Niemcy, przygotowujący od kilku dni uderzenie na zgrupowanie Banowa, rannym 22 czerwca 1944 roku podjechali całą kolumną od strony Sosnowicy i gwałtownie zaatakowali. Do akcji wszedł oddział partyzancki radzieckiej ze zgrupowania „Czornego” i oddział partyzancki AK pod dowództwem „Marsa”. Niemcy atakowali znacznymi siłami, kierując uderzenie na

sztab „Czornego”, jednakże brawurowy kontratak oddziału „Czornego”, który wyszedł Niemcom na tyły, zadał wrogowi znaczne straty, rozbijając podciągnięte do akcji działo wraz z obsługą.

Zazarta bitwa trwała cały dzień. Niemcy użyli samolotów, lecz wkrótce jeden z nich, na którym znajdował się dowódca SS i policji niemieckiej z Lublina, został stracony koło wsi Jagodna, a drugi między Dębową Kłodą i Zmiarkami. Wieczorem Niemcy opuścili pole bitwy zostawiając licznymi trupami, a dowódcy polskich oddziałów partyzanckich złożyli ppłk. „Czornemu” gratulacje z osiągniętych sukcesów. W tej bitwie został ranny Zenon Honory, który wieczorem

Dokończenie na str. 11

Dokończenie ze str. 1

Także pościel zaplamiona była krwią. Rzeczy z szaf i kredensów wywalone na podłogę. Szyba z lufki wyjęta.

Nietrudno było się domyśleć, że na Słomową dokonano napadu rabunkowego. Uważana była za osobę zamożną, ludzie w okolicy wiedzieli, że skupowała dolary. Sekcja zwłok wykazała, iż przyczyną zgonu były urazy mózgu, zadane tęym narzędziem. Poza tym miała ślady innych uderzeń oraz złamane trzy żebra, prawdopodobnie od nadzusańcia kolanami.

Nazajutrz przyjechał z Lublina Franciszek Słoma, brat męża zamordowanej.

— Ta zbrodnia zostanie wykryta i ukarana. A zbrodniarzowi, jeśli nawet coś zrabował, nie z tego nie przyjdzie — oświadczył głośno na podwórzu, wobec licznie zgromadzonych ciekawych, jakby adresując do któregoś z nich.

Następnego dnia przystąpiono do inwentaryzacji mienia po zamordowanej. Komisja składała się z miejscowego milicjanta, sołtysa oraz dwóch kuzynów Słomowej. W pewnej chwili jeden z nich, Roman Słoma, powiedział:

— O, patrzcie, co znalazłem. Chyba pieniądze — pokazał płócienny, na gumowej taśmie, woreczek, zapinany agrafkami.

— Gdzie to było? — zapytał milicjant.

— Pod tą szmatą, co leży na podłodze przy kuchni.

Sprawdzono zawartość woreczka. Było w nim 11 tys. zł i 560 dolarów USA.

Dwa dni później oficer z Komendy Wojewódzkiej przeglądał zdjęcie dokonane przez technika milicyjnego w dniu ujawnienia zbrodni. Na jednym z nich widać było wyraźnie ową szmatę — ale leżącą na krześle obok kuchni. Roman Słomę aresztowano. Podejrzenia szły w następującym kierunku: zabił stryjenkę, zabrał pieniądze, a teraz, przestraszony słowami ojca, zwraca je. Ekspert orzekł, że Eugenii uderzenia zadawano lewą ręką. Roman pisał i wykonywał lekkie prace prawą, lecz cięższe —

lewą. Niedawno pobudował się, miał długi w banku i pilne terminy płatności. Poza tym Eugenia miała amputowaną jedną pierś, czego nie było widać, sąsiedzi nie wiedzieli, pewnie nosiła w tym miejscu woreczek z pieniędzmi, on mógł wiedzieć.

Przesłuchiwany, nie przyznawał się. Początkowo wzburzony, zaskoczony, szybko opanował się i zrelacjonował dokładnie co robił w dniach, w których zginęła jego stryjenka. Godzina po godzinie, na wszystko podawał świadków. Potwierdzali to.

— Oto zdjęcia z pierwszego dnia. Szmatka leży na krześle. Co pan na to? — pytali milicjanci.

— Podniosłem ją z ziemi. Woreczek leżał w kątku, pod nią. Może

Rano Młyńczak obudził się z bulem głowy, nie chciał śniadania tylko proszek, szklankę wody i papierosa. Zeznał, że napadu na Słomową dokonał Stefan Bolski, też z Tomaszowa. Wybrali się razem z nim i jeszcze jednym, niejakim Bronisławem Mamrygą, żeby włamać się do sklepu GS. Klódki i kraty w oknach były za mocne, więc on i Mamryga wrócili do domu, a Bolski poszedł do Słomowej.

— A wy czego nie posłicie z nim? — spytał milicjanci.

— Do mieszkań prywatnych nie chodzi. Może się ktoś obudzić, narobi krzyku, szamotaniny. Uderzyć takiego nie wolno, bo to już rozbój, a on jak wałnie, jest w prawie. Mało to sklepów?

Trzy patyki na dwóch

zrzucił ją z krzesła ten wasz fotograf? Wiem jedno: jestem niewinny.

— Czy pan lubił stryjenkę?

— Nie za bardzo. Miała trudny charakter. Ale była moją stryjenką.

Po siedmiu tygodniach przesłuchiwań Romana zwolniono. Winnych znaleziono gdzie indziej. Właściwie znaleźli się sami. Do Komendy Powiatowej w Tomaszowie zgłosił się kompletnie pijany mężczyzna i wybełkotał:

— Jest chyba takie prawo, że jak jak powiem o skoku kłosego nie byłem głównym uczestnikiem, a wy szukacie sprawców, to mogę być uwolniony od winy? Otóż wiem, kto zalał w tę starą...

Czknął i usnął. Położono go w areszcie. Sprawdzenie personaliów nie było trudne: Tadeusz Młyńczak, lat 38, z zawodu murarz, nigdzie stale nie pracujący, karany pięciokrotnie za włamanie, kradzież i gwałt, zamieszkały w Tomaszowie z kobietą, która porzuciła swego męża i dziecko. On również porzucił żonę, drugą już, i sześciolatniego syna. Czekała go nowa sprawa o kradzież.

lat mieszkał z kobietą rozwiedzioną, mającą z byłym mężem dwoje nieletnich dzieci i utrzymującą je. Trzecie dziecko, obecnie ponad roczne, ma z Bolskim.

Gdy Bolskiemu stawiają teraz zarzut o zamordowanie Słomowej, nie wyplera się, nie żąda dowodów. Uśmiecha się mile, ma ujmującą powierzchowność. Ten uśmiech robi dobre wrażenie. Ze szczegółami opowiada jak to było.

Słomową nadal im Bronisław Gawronek, listonosz z pobliskiego miasteczka. Poznał go niedługo w więzieniu. Gawronek też z zawodu jest murarzem, w więzieniu znał Młyńczaka, zapoznał go z Bolskim. Kilka razy chodzili na murarkę, razem upijali się.

Gawronek zachęcał do obrabowania Słomowej, twierdził, że dziana. Sam nie mógł, bo go znała. Ustalili, że zaprowadzi ich, poczeka gdzieś z boku, oni obrabiają starą i podzielą się z nim dołą.

Wybrali się we trzech 5 grudnia. Przechodzili wieczorem przez sąsiednią wieś.

— U jednej baby murowałem tu obórę. Wykiwała mnie przy płaceniu, taka jej... — zaklął Gawronek. — Pożyciecie zapalek.

Wziął pudełko, odszedł na kilka minut i zaraz obok buchnęły płomienie. Palila się stodoła. Gdzieś we wsi rozległy się krzyki. Uciekli szybko do domów, zmyślawszy przedtem Gawronka, że zepsuł robotę.

Drugi raz podchodzili na przełomie stycznia i lutego. Gawronek, Bolski i Mamryga, bez Młyńczaka. Byli już przy zabudowaniach Słomowej, gdy nadjechał konno drugi listonosz z depeszą. Poznał Gawronka. Wycofali się. Potem na przełomie lutego i marca wybrali się Bolski, Młyńczak i Mamryga. Rozszalała się burza śnieżna, zasy były powyżej pasa. Zawrócili.

Bolski poszedł czwartym raz 13 marca, tylko z Młyńczakiem. dro-

gę już znał. Skryli się w stodole Słomowej, obserwowali przez szparę zabudowania sąsiadów. Wreszcie wszędzie pogasły światła, tylko u Słomowej jeszcze nie. Podeszli pod dom, zajrzeli przez okno. Kobieta siedziała na łóżku, rozczesywała włosy. Młyńczak poszedł na drugą stronę domu, aby wyjąć szybę i dostać się do środka, a Bolski kontrolował przez okno, czy kobieta nie rusza się z łóżka. W końcu zgasiła światło. Po kilku minutach Młyńczak otworzył od wewnątrz drzwi od sieni. Bolski wszedł do mieszkania. Błysnął latarką, zobaczył że stara jest zakrwawiona, chyba pobita, pomyślał sobie, że niepotrzebnie, to miał być skok na forsz, bez ruszania ludzi.

— Chodź pomożesz mi ją związać. Nie chce k... mówić, gdzie ma forsz — zawołał go Młyńczak.

Związali ją i położyli na łóżku. Podala im jeszcze przedtem serdak z krzesła, z około trzema tysiącami w kieszeni. Wymarotała, że więcej nie ma, bo rano pożyczła znajomemu 15 tysięcy. I co tam jeszcze powiedziała: „Wy mi tu nie buntujcie”, czy jakoś podobnie, bez sensu, nie była już chyba całkiem przytomna.

Przeszukali mieszkanie. Prawie daremnie. Bolski znalazł w kredensie 270 zł, wsunął je ukradkiem do kieszeni, żeby Młyńczak nie zobaczył. Nabrał sobie też pełną szklankę szmalcu z glinianego garanka. Na odchodnym przykrył Słomową pierzyną. Nie żeby nie krzyczała — i tak nikt by nie usłyszał. Zeby nie zamarała i zatkała dziurę po szybie poduszka. Młyńczak dał Bolskiemu 800 zł i poszedł do Tomaszowa. Bolski udał się do miasteczka, do Gawronka. Postawił na stole szklankę ze szmalcem, dał gospodarzowi 100 zł na wodkę i drugie 100 zł tak po kumpłowski. Przespał się u niego, a rano wrócił do znajomego w Tomaszowie, u którego się ukrywał. A że potrzebna mu była forsa, za parę dni poszedł obrabić gospodę.

Bardzo mu przykro, że ta starszuszka zmarła; sam ma matkę w Lublinie i kocha ją. Młyńczakowi chyba rozum odjęło, gdy uderzał Słomową. On, Bolski, przy tym jak raz nie był, a gdyby był, to też chyba by nie nie zmieniło. Jakby

SŁEMIK dokonał szczęśliwie wyboru swego deputata wojewódzkiego, wręczył mu opatrzone pieczęciami instrumenta elektryczni, czyli poświadczanie sejmikowej decyzji, jako jasnie wielmożny jest prawym przedstawicielem ziemi, z której zjeżdża na sesję trybunału — i teraz następowaly gorączkowe przygotowania do podróży. Deputat doceniał w pełni powagę sytuacji. Zastaw się a wystaw się — należałoby powiedzieć w tym wypadku, parafrazując przyszłość. Chciał wystąpić godnie i — zgodnie z przysługującym mu podczas deputowania tytułem jasnie wielmożny — toteż kubatura sakwojaży przekraczała kilkakrotnie kubaturę najpulsniejszego ich właściciela. Dzięki temu właśnie paradny wjazd prezydenta do grodu trybunałowego rozciągał się — według słów Jerzego Kłopoty — na dwie mili pociągów, ponieważ z tytułu za karą prezydencką, za konnymi na koniach dzielnych, w rzędy sufe przybranych, za dworzanami od różnych dworów oraz wojskowymi wozami zmieszany, za dragonią księcia prymasa lub biskupa krakowskiego następowaly karety różnych panów i kolaski różnych jasnie wielmożnych deputatów. Lublin witał wszystkich otwartymi bramami.

Kto posiadał w mieście krewnych, przyjaciół lub znajomych, nie musiał kłopotać się o wikt i opierunek. Inni poszukiwali korzystne położone stancje: ot, gdzie przy rynku czy na handlowej ulicy Grodzkiej, a że nie zawsze było to takie proste, świadczą powtarzające się często ordynacje trybunału pod adresem magistratu, aby starał się o wszelkie wygody od wicelitu(?) należące, tak dla osób trybunałskich, jako też dla przybywających w sprawach swoich do trybunału. Problem zakwaterowania licznych gości definitywnie rozstrzygnięto dopiero postanowieniem sejmu z roku 1685, kiedy to panował miłościwie Jan III Sobieski i kiedy jego imię nadało moc obowiązującą dokumentowi, ogłoszonemu w tym celu:

„aby na przyszły Trybunał, (roku) 1685 przypadający, nasz starosta lubelski albo jego ofitium gospody na województwa rozmieścił, które gospodarze pod inwentarzem każdy swemu deputatowi oddać będzie powinien (...), chcąc to mieć, aby kamienice o jedynym piętrem według dawnego zwyczajnego tej dyspozycji nie należały...

Wygodnie czy mniej wygodnie, blisko czy nie najbliższe trybunału — jednak wszędzie z przeświadczeniem, że są miłymi gośćmi dla lublinian i Lublina, układali się deputaci do pierwszego snu pod lubelskimi dachami. Byli zmęczeni. Wszak po trudach reasumpcji (inauguracji) Trybunału, chcąc za-

spokoić głód i pragnienie, musieli „zawiedzić miasto”...

„Daj się raz starosta kanowski (Michał) Potocki, ogłosić na trybunał deputatem (...). Będzie na tym trybunał w Lublinie, w czasie północnym (podziemnym) sejsji — postaći naprzeciwko gniazda trybunałowego do piwnicy na strychu, aby się swobodnie zjedli i zjedli do woli w lochu napię. Dział od piwnicy wchodzići wprost na strych, gdzie stała warta oddajęci honary należne deputatom i (zarazem) straż trybunałowa przed (tę) godziną.

Oficer od warty zauważył wejście deputata do owego lochu, z którego gdy się na powrót chciał wychylić Potocki, oficer zart z niego czyniąc, iż w tak pospolitem strachu się znalazł, iż nie zaniemniej się głowę przez deputata znieo-

wał żołnierz: „— Do bronii!”, Potocki wstąpił się, żeby go żołnierz wychodzącego z strachu mieli tak honorować publicznie (...). I cofnął się w tył, pragnąc incognito wyjść z tego miejsca. Ale oficer umyślnie postawił się — i nie dał Potocki głowę wychylić z lochu, nie ośmielając wołać: „— Do bronii!”, Narazcie trzaskniętymy Potocki postąpił przez szynkarkę kilkanaście dukatów oficerowi od strachu.” (L. Cieszkowski, Pamiętnik anegdotalny)

Bardziej odpowiedzialni zasiadali w zaciszu wynajętego pokoiku przed białą kartką papieru i stoiczkiem inkaustu, aby podzielić się z kimś bliskim nowinami trybunałskimi. Oto list pociągki Antoniego Losia (1733—7), syna Michała, kasztelana łwowskiego. Antoni, starosta wyszyński, a od roku 1781 wojewoda pomorski, karierę administracyjną rozpoczął we wczesnej młodości jako deputat z ówczesnego województwa podolskiego na sesję trybunału w r. 1782.

„List JW Pana Losia (...). Do JWJP (Józefa) Malachowskiego, (starosty) Piotrkowskiego, deputata sieradzkiego, z Lublina dnia 13 7:brisa piąsny, przysyłając mu (...). Deklarację (...). Testując w sądach z małej kolegów frekwencją tym tytułem w szczególności uznaje, (m) bardziej uchylił mi z odległości Jego w obcowaniu stąd siebie przypominam.

Sejm nam chyba w Warszawie widzieć się pozwoli, teraz zaś piśmem naszymi ciekawym się do woli. Oznajmić zaś ci nie mam nic złego, przysiężeli. Nad to, że nas kolega nie jest, wiecek; Marszałek * i wicelituśki**, (s)uotaki, przy tym płocki, Belski, i tu ma przybyć — jak mówią — zanocki.

Wiecej hajmy zambitnie naszego...
 Masa, wozonający panedypat do wo...
 Który ci przesyłając i nie bawiać...
 To wprzód, zow zabawę...
 (* Feliks Turak, ** deputat, *** z f. bawę cię)

List Losia, adresowany do przyszłego kanclerza wielkiego koronnego (od roku 1787), jest więc pierwszą — i ostatnią, bo jedyną jaką znamy — bezpośrednią wypowiedzią obywatela osobliwie i z woli wyborców uczestniczącego w sesjach trybunału. Uboga forma i jeszcze uboższa treść pozwalają

Wojciech Jerzy Podgórski

jednak wierzyć w szczerze zamiary autora, który skarżąc się na „łask-nicę” i powołując się przy tym na bliżej nam nie znany edykt trybunału, mówi między wierszami — aby nie obrazić adresata, starszego kolegi — o społecznej szkodliwości bojkotowania sesji przez niektórych deputatów.

Młodzięcy zapal deputata podolskiego musiał dać się we znaki palestrze trybunałowej, skoro nieznanemu panegirysta wychwala dzielność i cnotę młodzieńca, nazywając go Feniksem lub Achillesem i przeciwstawiając jego zalety powodzi zepsucia praw. Gdyby przyszła nam w sukurs znajomość wspomnianej przez tytuł „pewnej sprawy”, moglibyśmy dopiero wówczas sprawiedliwie ocenić postępowanie i charakter 24-letniego deputata:

WIERZĘ NA PEWNA SPRAWĘ W TRYBUNALE.

Podi los szczęścia przy Prawie na schyłku ożycznym, Który sprawiedliwością angoli Jej bliżny.

Łos, wyszyński starosta, który w tej powodzi Zepsucia praw, zniszczenia prawdy, Achilles — swej ojczyźnie dodaje cnoty schyłku, Dwadzieścia lat i cztery on ma swego wieku; Patr, co będzie w czterdziestu, zdmiały ciemnośćku Interes nie-nie waży, tuncz, cerna, urada; Równość, prawo i cnota — u niego nadgrada.

Taka była zwykła kolej rzeczy: optymizmowi pierwszych dni sesji towarzyszyły panegiryki; natomiast przypływ satyry rozpoczynały zazwyczaj wybory marszałka trybunału, czyli post factum „spieście” dwu obozów; obozu spełnionych — i obozu zawiedzionych nadziei...

FALLAX AMBITIO
(Zaraditua umiozja).

Wojewoda sieradzki został deputatem w nadziei, że do laski musi być „kandydatem.” A podobno dlatego uczynił to staro, Żeby miał, jako chrzemy, dwa kije do pały.

Bo to nie kiej, którego to pieniąż dostanie — A tyś onę sobie starocowił barzo — tenio!

I znów podobną kolejną rzecz kwitowano zwycięstwem jednych pompatycznymi panegirykami, kiedy jednak wydane przez trybunał na prawo i lewo kondemnaty (wyroki) podważyły nieco zaufanie klientów do niektórych deputatów —

SPRAWA PRZEWIEDZIONA.

— Jednak kondemnatę Skazano na cie, skąd popadniez — w stratę; Cichość po mieszku i honorze dano — W list to opoń na dziebie trąbiono**.

(* „rym optyczny” (do trąbiono); dano = dano, ** przysłatek staropolskie).

— w ruch poszły pióra lubelskich Persjuszów i Juwenalisów, wydając portrećki satyryczne:

KRAKOWSKI [deputat].

Wielki humor — a przy tym wiecek jest obtudny, Nieroztropny i przykry — i w racyjnych nudny, A podług uprzedzenia częstej sądzi sprawy; Wino czasem a karty miło mu zabawy.

ŁĘCZYCKI.

Parobek jest po trzętzu — burda, gdy pijany; Umie tylko wytrząść butelki i drzbany.

Idzie ślepo, gdzie hetman i pułcaki * kaze — i taktowym postępkem swój charakter maże. (* deputat).

A jak wyglądał przebieg wzorcowej rozprawy — w satyrycznym zwierciadle okolicznościowej poezji lubelskiej? Otóż niemal dokumentem manewrów i chwytów stosowanych przez klientów prawa jest wierszowany reportaż z sali ratusza lubelskiego, czytelnym mimo nieznaności meritum sprawy i braku danych personalnych.

Wiersze przypisane JOX[ie]ciu W[ojewo]dziej braci[awskiemu] [Potockiemu] w sprawie z JW JMé Panią kasz[telanową] Kamińską [de domo księżną Jabłonowską] in anno 1757 w Lublinie.

Potocki jasnie Opatrzony Mjotzię Kępsz wozu, Co opowiem, na lubelskim wozonający ratona;

W czym przeważnie pierwszej strona kondemnaty wozu, W tym trawie raz Kłopoty J[erzego] Kłopoty, Kłopoty wozu, Jaz nadliże przy Potocki * piąsny — Kłopoty wozu — Jaz obliża Kłopoty** deputatu wozu.

Nie przeważa się piła w jasności, czyli w swojej sprawie, Jek ma oczy tak pępo wozu — Kłopoty wozu. (* i j. przy wojewo]dziej Potockim, ** wozu o kasztelana] Kłopoty).

Tym razem przegrał więc jakiś Potocki. Gwoli sprawiedliwości powinien to być osławiony starosta kanowski, który tak daleko posunął swą magnacką butą, że na grzeczny, demokratyczny zwrot „Panie kolego” deputata niższej kondy: odpowiadał.

Koleżeństwo i powaga wozu Patruś tylko do świętego Tomassa

czyli do dnia zamknięcia trybunału (21 grudnia) — i mówił dalej:

— „Ja się zostanę Potockim, jakem był, a waspan — panem skarbnikiem”. Na to szlachciz nie zmieszany.

— Tak jest, ja się spodziewam być waspanem skarbnikiem i czynnym w kraju obywatелеm, a waspan zastępniesz takim Potockim jak i przedtem...

(L. Cieszkowski, op. cit.)

A jednak prawdę mówił starosta kanowski z piedestału jasniepańskiej wyższości: oto nadchodziła godzina limity trybunału, kiedy to dla wimy deputatów szlacheckiej Rzeczypospolitej

Jasnie — zgnanie, Możpanie — zostanie.

W wigili św. Tomassa sądy się Trybunału Kłopoty, Marszałek albo prezydent małą publiczną legat swoich kolegów, ciemstwo i palestrę; ci wozu — Jem przez jednego zmiędzy siebie zgnali Trybunał, przesyłając się na panegirysty jedni dla drugich — w administracjami świętej sprawiedliwości i gorliwym służeniu państwu...

(J. Kłopoty, Opis chyczałow za panowania Augusta III).

Deputat opuszczał stancję, wolał do służącego „Zaprzęgać konie!”, żegnał Lublin, pochylając głowę pod sklepieniem Bramy Grodzkiej — i tyle go było widać...

A ratusz lubelski — siedziba trybunału — stał dalej spokojnie na swoim miejscu.

Cytowane wiersze pochodzą ze zbiorów rękopiśmiennych Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie, Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu oraz Biblioteki im. Zielińskich w Płocku — i są (wyjąwszy oba dwa wiersze) po raz pierwszy ogłaszane drukiem.

kogo bili, nie będzie bronii, naturę ma taką, że się nie wtrąca, sam też z nikim się nie bije, nie licząc tego co z własną kobietą, ale to prywatna sprawa, prawda? Teraz mówi szczerze, jak na spowiedzi, niech milicja zbada, na pewno wszystko się potwierdzi.

Pierwszy potwierdza Gawronek, lat 41, karany czterokrotnie za awantury i pobicia, tonaty, ma czworo dzieci. Potwierdza wszystko, oprócz tego, że podpalił stodołę. Protestuje, gdy go aresztują.

Gawronka obciąża o tę stodołę również Młyńczak. Tak, szli wtedy do tej wsi we trzech, jednak szli do sklepu, a nie gdzie indziej. Także i ostatnim razem szli do sklepu. On, Młyńczak, w ogóle nie zachodził na podwórze Siomowej. Wrócił z Mamrygą do Tomaszowa. Dlaczego Bolski tak, że Mamryga był z nimi?

Mamrygę też doprowadzają do aresztu. Czeka na sprawę za państwo. Potwierdza słowa Młyńczaka. Konfrontacje i wizja lokalna nie przynoszą zmian. Jest ich wyraźnie dwóch na dwóch — i trochę każdy przeciw każdemu.

Już i ich kobiety się waśnią. Bolski ze swoją, jej dwojgiem dziećmi i trzecim, wspólnym, mieszkał w małej kłitce, koło 12 metrów kwadratowych, bez prądu, wody i zlewu — a i tak przyjęli jeszcze na sublokatorstwo Młyńczaka, gdy ten wyprowadził się od żony. I jego nową kobietę oczywiście. Ta nowa ma najmniej kłopotu; młoda, znajduje sobie kogoś, poza tym maż prosi, by do niego wróciła. Ale co będzie z kobietą Bolskiego? Trzydzieści trzy lata to żaden wiek, jeszcze długo chłopcy by i; jakomily, gdyby nie te troje dzieci. Jej były maż siedzi w więzieniu, więc nie płaci alimentów. Bolski był dobry dla całej trójki, kupował upominki i słodycze, nie uderzył, mówiły na niego tatusiu. A teraz? W clasnej kłitce unosi się kwaśny zapach potu. Kobieta Bolskiego poci się mocno, bo choruje; mimo to sama musi wszystko robić przy dzieciach. Niedawno średni syn miał wstrząs mózgu i pęknięcie czaszki, leżał mlesiąc. Wbiegli na jezdnio i najechal na niego samochód, gdy już był prawie na drugiej stronie jezdnia. Znały się, kierowca widział go, nie

zahamował, bo jechał za rzybko. A milicja umorzyła dochodzenia. Milicja w ogóle jest wszystkiemu winna. Gdyby zamknęli Bolskiego wtedy, gdy ukrywał się przed wyrokiem kolegium, Młyńczak i jego małpa nie mogliby go namówić do tego skoku. Bolski to porządny facet, wesoly, umie gotować.

Zona Gawronka też uważa, że to wszystko przez Młyńczaka. I przez Bolskiego. Początkowo zaprzeczała, że maż ich znał, że razem się wypuszczali. Dopiero gdy zawieziono ją do aresztu i listonosz nakazał: „powiedz wszystko, bo ja się przysięgam”, powiedziała. Ma grażlicę i musi utrzymywać czworo dzieci. Najstarszy syn, lat 17, uczy się w szkole zawodowej na Wybrzeżu. Oświadczył matce, że nie potrzebna mu taka rodzina, więcej do domu nie przyjedzie.

Tylko matka Młyńczaka nie usprawiedliwia go. Ojciec, gdy się dowiedział za co aresztowano syna, chciał się z rozpacz powiesić.

— Lobuz on był zawsze, od kilkunastoletniego chłopaka — powiada matka Młyńczaka. — I biłam, i prosiłam, nic nie pomagało. Nie wychowałam go na kalekę. Czego kradł? Ja nikomu złotówki nie wzięłam, 9 lat miałam gdy poszłam na służbę. Pokojówką byłam, przy biżuterii, nawet nie pomyślałam o cudzym. Dziś mam 61 lat i pracuję w ogrodzie. On miał złą pierwszą żonę, a teścia bandytę, co kiedyś zabił człowieka, a potem zginął z ręki szwagra. Ale druga żona to skarb, dobra i dziecko dobrze chowa. Mieszka z nami. Córkę też mam porządną, dobrą, jej maż jest na wysokim stanowisku. Taki wstyd mi robił syn całe życie. Lepiej żeby umarł dzieckiem, niż doprowadził do śmierci innego człowieka. Do tej swojej piśmie podobno listy, do nas, żony i dziecka nie.

I po chwili Młyńczakowa, jakby konspiracyjnie:

— Jak on się czuje? Nie wie pan? Bardzo mu tam źle?

Ukradkiem ociera łzę.

Jest to być może ostatnia fra wyciągnięta śmiercią Siomowej. Spadkobiercy sprzedali jej dom. Nabywca już narzeka: rozebrał, myślał, że złoży u siebie, a to prawie próchno.



Spadkobiercy sprzedali jej dom. Nabywca już narzeka: rozebrał, myślał że złoży u siebie, a to prawie próchno. (Foto-Autor)

Zostały tylko kuchnia i taras z balustradą. Wieś śmieje się z nabywcy: kupił stary drewniak, pewnie myślał, że znajdzie w ścianach złoto. Wieś jest zawiedziona. Spodziewała się przyjazdu telewizji i wywiadów z mieszkańcami, a tu nic. Wieś przestała już barykadować drzwi i okna na noc; powoli zapomina o wydarzeniu. Poza tym dowiedzieli się teraz, że Eugenia miała raka, stąd te bóle i niewiele by jej życia zostało. Jeszcze tylko Roman Siema narzeka, że gdy siedział w areszcie, żona musiała najmować do roboty w polu, powinien dostać za to odszkodowanie.

— Nie możesz mieć pretencji — uspokaja go ojciec. Przyjechał tu na wakacje. — Milicja musi przecież szukać czasem i na ślepo, gdy

nie ma lepszych możliwości. Co byś zrobił na ich miejscu?

W więzieniu przy ul. Zemborzyckiej w Lublinie, na oddziale śledczym, w sąsiednich celach siedzą dwaj główni oskarżeni. Oczekiwanie na proces skracają sobie obciążającymi nawzajem zeznaniami przy każdorazowej wizycie prokuratora, nawet jeśli przyszedł w innej sprawie. I wybielaniem siebie. Uśmiechnięty mile Bolski przyznaje się do złodziejskich skłonności, żaluje, że poszedł na ten skok, to ostatni raz w życiu, wie, że będzie skazany, ma nadzieję na łagodny wyrok, przecież nie był Siomowej. Zimny, poważny, jakby oddalony myślami Młyńczak, wysoki, z wąsami, nieco junacki typ urody, twierdzi, że w pudle też

można żyć, choć na pewno sąd uniewinni go, skoro nie złego nie zrobił, a samo chodzenie po nocy jest dozwolone.

Dopiero gdy przybyły na widzenie z nimi reporter zdradza każdemu osobno, że znaleziono ten woreczek z 11 tysiącami i 500 dolarami, obaj jednakowo nieruchomieją na moment i otwierają usta, jakby zaczęli się dusić.

A może to tylko te upały na przełomie lipca i sierpnia i te cholerne kraty w oknach, za którymi zawsze jest mniej powietrza?

Romuald Wiśniewski

W klimacie Żeromskiego

Maria Bechcyc-Rudnicka

WATPIĆ należy, by far niente przesłodzone, tj. doprowadzone do absolutu, było istotnie skutecznym relaksem. To też mam zwyczaj odkładać na kanikule kilka lektur „obowiązkowych” a miłych. Tym razem przeznaczam na lipiec należycie m. in. „Stefana Żeromskiego drogę do teatru” i tęszę sobie, iż niełatwo wybrać miejsce bardziej sprzyjające obcowaniu z tą nową pracą Wojciecha Natanson. Należycie bowiem stylnie nie tylko „mikroklimatu” geograficznego, ale i ze wspaniałego klimatu twórczego — klimatu Prusa i Żeromskiego. Żeromskiego jednak przede wszystkim. Chyba dlatego „przede wszystkim”, że stosunek autora „Ludzi bezdomnych” do Należycia był wybitnie aktywny i pamięć jego wiąże się tu z pewnymi momentami dramatycznymi. „Chata” promieniuje na Należyców. Książce Natansonu z natury rzeczy nie brak ech należycowskich. Zabrzmiały one najdośćniej przy omówieniu „Róży”, gdzie autor monografią przytacza następującą relację J. Krzeszawskiego o udziale Żeromskiego w zebraniu 1 listopada 1903 r. w należycowskiej Alei Lipowej:

Jak dziś pamiętam jego postać na wzgórzu, z rozziwianym włosem. Oczy jego rzuciły błyskawicę, a słowa padały mocne, wałkie i ciężkie. Gromił ugodę i słabość, nawoływał do ofiarnego czynu. Przypominał, że masy pracujące, robotnicze i chłopskie — są narodem... Kto chce walki o niepodległość i lepszą przyszłość narodu, ten pókiżie z nami — za czerwonym sztandarem. I tłum za przewodem Żeromskiego opuścił wzgórze, śpiewając Czerwony sztandar...

Oczywiście nie same reminiscencje należycowskie sprawiły to, że przeczytałam monografię Natansonu z dużą przyjemnością. Zawiera ona mnóstwo informacji i myśli interesujących dla czytelnika nie wyspecjalizowanego w dramaturgii Żeromskiego.

Materiał faktograficzny książki pochodzi z przebogataj źródła: z korespondencji Stefana Żeromskiego, z pamiętników jego współczesnych, z rozpraw, esejów, artykułów badaczy i krytyków tej miary, co Pigoń, Borowy, Grzymała-Siedlecki, Irykowski, Boy, z wszelkich

recenzji rozsyłanych po czasopiśmie i dziennikach... Ba — z programów teatralnych, których znaczenie Natanson docenia, jako kierownik literacki (w latach pięćdziesiątych) warszawskiego Teatru Ludowego. M. in. artykułowi programu teatru kieleckiego z 1933 r. zawdzięcza ciekawą wiadomość, że nazwiska kilku wykładowców na porębiańskim kursie w „Przebiegach” wywodzą się z nazw wsi lub wzgórz Świętokrzyskich. Do najczęściej wymienianych informatorów należą: St. Kasztelowicz i St. Elle, autorzy pracy „Stefan Żeromski — kalendarz życia i twórczości”.

Struktura monografii jest przejrzysta i dogodna dla czytelnika: po Wstępie, który wspomina o juveniliach, następuje osiem rozdziałów poświęconych każdy jednemu dramatu w kolejności powstawania. Układ ten, pozwalając dostrzec wyraźnie więź poszczególnych utworów z przebiegiem życia pisarza, prowadzi do psychologicznej ich genezy, dzięki czemu Całowiek — Twórca żyje w relacji i to głównie czyni lekturę książki atrakcyjną.

Wewnątrz rozdziałów, oprócz informacji dotyczących okoliczności, jakie towarzyszyły narodzinom dzieła, oprócz jego analizy, przeprowadzonej z finezją i konsekwencją — opisane są jego fazy w wydawców, w teatrze, w opinii krytyków i recenzentów, w recepcji publiczności.

Pisząc książkę z wyczuwalnym sentymentem dla jej wielkiego bohatera, Natanson nie stał się jednak bezkrytycznym apologetą Żeromskiego-dramaturga. Nie przemilcza on rzeczywistych usterek nawet najlepszych jego sztuk. Natomiast pochopnie negatywnym sądom „nieuważnych recenzentów” przeciwstawia nie tylko swoje osobiste zdanie, lecz, z rzadko spotykanym obiektywizmem i skromnością, także oceny innych wybitnych krytyków. W ten sposób czytelnik zostaje raz po raz zaproszony do grona dyskutantów i to z kolei powiększa atrakcyjność lektury. Nawiasem mówiąc, niektórzy zolowie, jak np. Stanisław Pińkowski, nabierają w monografii Natansonu rysów dramatis personae.

Cenną umiejętnością dokładnego wyważania zalet i wad dostrzegają się wyraźnie zwłaszcza w rozdziale szóstym, gdzie Wojciech Natanson

omawia najlżejszą sztukę Żeromskiego — „Białą rękawiczkę”, której akcja (poza prologiem) toczy się tuż po pierwszej wojnie światowej. Prapremiera „Białej rękawiczki” odbyła się na początku marca 1921 r. w warszawskim Teatrze Polskim. Tylko na jednej jeszcze scenie zagrano tę sztukę, w Łódzkim Teatrze Miejskim, w kwietniu tego roku. Od tamtej pory nikt po nią nie sięgnął. Kto wie — mówi Natanson — czy słusznie. Przyznaje on, że spłatanie problemów, ich nieopiekanie i niedoprowadzenie do końca, nierozumienie i powierzchowne pokrzykiwanie, o słabości, a nawet niszczenie wartości „Białej rękawiczki”, zawarte w śmiałych pomysłach. Przyznaje poza tym, że symbolizm tytułu wyrażnie się sprzeczał z jej realistyczno-obyczajową atmosferą, ale zwraca również uwagę na fakt, że i w tej sztuce uderza stała troska pisarza o los młodego państwa i jego przyszłość. Podkreśla też, gdzie się da, walory techniki dramatopisarckiej: Jest — mówi — w „Białej rękawiczce” scena niezmiernie interesująca i dobrze napisana, o związku ostrej satyry społecznej. Ta, w której współwłaściciele spółki naftowej odstępują sobie pakiet akcji, ratując się i skazując innych na ruinę...

Poszczególne rozdziały książki mają, rzec by można, „fabule” nie ustępującą anegdotce dobrego opowiadania beletrystycznego. I tak np. czytelnika, który dopiero od niedawna śledzi życie teatralne Polski, na pewno zafascynują opisane w rozdziale pierwszym dziwne przygody „Grzechu”, sztuki wysłanej w 1897 r. na konkurs „Kuriera Warszawskiego”, nie nagrodzonej przez jury, porzuconej przez pisarza i wyciągniętej w r. 1918 przez ciężko chorego syna Żeromskiego, Adasia, ze szpargaliów szafy w Należycowie. Dopiero w 1950 r., dzięki Pigoniowi, zdefektowany dramat ten ogłoszono drukiem, a na scenę dotarli on po raz pierwszy w r. 1951. Zaiste dramatyczne mają losy niektóre libelli!

Pasjonując znowu zagadkowe są dzieje niedokończonego utworu, wykrytego w 1938 r. w rezytkach brulionu „Popiołów”, a wystawionego w kilka miesięcy po wykryciu w warszawskim Teatrze Ludowym pod tytułem „Dramatu akt pierwszy”.

Czytając rozdziały monografii Natansonu w kolejności ustalonej przez autora, znajdujemy u podłoża dramatów Żeromskiego, jak nieuchronne ostinato, wynikający z poczucia odpowiedzialności za los kraju kateryczny imperatyw porozumienia się z ludem poprzez dokonanie aktu sprawiedliwości społecznej w stosunku do robotników i chłopów. Najbardziej radykalny wyraz zyskała ta tendencja w „Sulkowickim”. Pisze Natanson m. in., że „z dwóch możliwości, które adiutant Napoleona dostrzegł przy rozwiązywaniu chłopskiej sprawy (a zarazem wyzwolenia Polski),

opluje Sulkowski raczej za rewolucyjną, a nie solidarystyczną.

Inny odcięć ma idea wyrównania krzywd społecznych w „Ponad śnieg...”, gdzie pełne oczyszczenie Wincentego Rudomskiego ze zbrodni musi dokonać się przez akt solidarności z ludem i symboliczne nie tylko wyrzucenie, ale i potępienie przysięgów odwiecznych, rodowych. Natanson uważa „Ponad śnieg...” za próbę zajęcia „trzęsawego” stanowiska — między światem przywilejów a dżemami rewolucji. Tak czy inaczej, późniejszy prawie o cztery lata dramaturg Żeromskiego „Turoń” przynosi przerażający obraz wydarzeń, do jakich doprowadziła krzywda chłopska. Tropim tego utworu — powiada Wojciech Natanson — polega na rozbięciu przez nienawiść klasową polskiej idei narodowej.

Jest jeszcze pewne arcyważne i aktualne zagadnienie, na które zwraca uwagę monografia o drodze Stefana Żeromskiego do teatru. Otóż cytując zdanie prof. J. Z. Jakubowskiego: dramat Żeromskiego sygnalizuje nowy problem: rola jednostki i mas ludowych w historii — mówi Natanson za swej strony: Problem zaprzęgnięcia stanowić zarówno nowe spojrzenie na zagadnienie poruszone w „Róży” i rewizję historyczną „Popiołów”, jak i zapowiedź niebezpieczeństwa kryjących się w wodostwie duchowym, co stanowi jedną z najcięższych spraw w „Przebiegach”.

Bodaj najbardziej wzięta sztuka Stefana Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka...” zawiera poza tym sprawę ocalenia folkloru, niesłuchanie dziś aktualną. Dane, które przytacza Natanson w innym rozdziale pozwalają, sądzić, nawiązać działalność porębiańskich wykładowców m. in. do pasjonowania się Żeromskiego jeszcze w r. 1906 pracą teatru ludowego, założonego w Należycowie przez rzeźbiarza Józefa Gardeckiego.

Już mimochodem tylko mogę tu nadmienić, iż nader trafnie charakteryzuje Natanson stylistykę omawianych dramatów — że przytoczę tytułem przykładu „Ponad śnieg...”, który odbiegał od ówczesnych pojęć o konstrukcji teatralnej.

Niestety, niniejsze omówienie relacjonuje zaledwie niłą część problemów i faktów przedstawionych w docieklivej, a barwnej monografii Wojciecha Natansonu. Jakże znakomite opisy spektakli znajdziemy w niej czytelnik — choćby np. opis „Róży”, „przetłumaczonej” na język współczesnego teatru przez Leona Schillera na warszawskiej scenie im. Bogusławskiego (w r. 1926).

Stojmy w obliczu rozpoczynającego się roku szkolnego. Przyjacielowi sztuki teatralnej mimo woli nasuwa się myśl, że „Stefana Żeromskiego droga do teatru...” może się stać bardzo popularną lekturą m. in. wśród uczące się młodzieży, która powinna być w awangardzie teatrofilów zapelniających widownię teatrów polskich.

Dzieje partyzantki lubelskiej

UKAZAŁA się kolejna książka Leszka Siemiona, dotycząca lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie*. Wydawnictwo Lubelskie, publikując ową książkę, miało na uwadze zapewne zaspokojenie powszechnego zapotrzebowania na publikację komasującą wiedzę o latach wojny i okupacji, o martyrologii i walce mieszkańców Lubelszczyzny. Ale zamierzenie takie powinno właśnie zobowiązywać zarówno autora, jak i czytelnika, do szczególnie solidnego opracowania publikacji. Tymczasem w pracy Siemiona oprócz wielu wartościowych fragmentów jest również duża ilość niedokładności.

Ze wstępnego słowa dowiadujemy się, że książka zawiera w dużej mierze przedruki artykułów zamieszczanych w „Sztandarze Ludu”, „Kamieniu” i w dwu periodykach Wydawnictwa Lubelskiego, ale nie jest wspomniana w wprowadzeniu, iż pokażną część książki przeznaczono również na przedruk artykułu z „Zeszytów Majdanka” pt. „Egzekucje na Lubelszczyźnie”. Tam ten ukazał się w lipcu 1969 r., a więc zaledwie dwa lata temu i jest jeszcze w sprzedaży. Na przemilczenie artykułu wpłynęła zapewne spora ilość niedokładności, z których tylko część została sprostowana w ostatniej książce Siemiona. Najbardziej przykre pozostały nadal.

I tak nieprawdą jest, że w Dąbrowie pod Lublinem (s. 249) zginęło w pierwszej egzekucji tysiąc osób, albowiem rozstrzelani mieli miejsce nie pod Lublinem, ale koło Biskupic w lesie zwanym także Dąbrowa. Ponadto dane ustalone przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich mają nieco inną treść. W lipcu 1941 r. przywieziono najpierw nie tysiąc osób, jak stwierdza autor, ale 350 powiązanych drutem kolczastym więźniów obozu w Trawnikach i dopiero kilka dni później

rozstrzelano w tym miejscu znowu 200 osób. 11 listopada 1942 r. gestapo dokonało w lesie pod Konopnicą egzekucji nie 11 osób (s. 280), lecz ok. 60 więźniów Zamku Lubelskiego, przywiezionych w nocy i rozstrzelanych przy świetle reflektorów samochodowych.

Szkoda również, że autor książki odstąpił od historycznego podziału województwa na powiaty (w okresie okupacji nie było ani pow. bełżyckiego, ani pow. bychawskiego). Nie ma bowiem żadnych powodów do omawiania miejsc martyrologii i walki w sposób ahistoryczny — żądna z liczących się na dziedzinie naukowej i popularyzatorskiej publikacja dotycząca okresu II wojny nie odstępować od tej zasady. Przykładem jest praca prof. Czesława Madajczyka, który w „Pamiętności III Rzeczy w okupowanej Polsce” ujmuje ówczesny teren ze Lwowem, lecz bez Szczecina, Wrocławia czy Gorzowa; również woj. lwowskiego (dystrykt Galicja) nie nazywa obszarem ZSRR ani nie zalicza w tym czasie Lwowa czy Wilna do odpowiednich republik.

Wątpliwości budzą również niektóre przypisy. W tekście na s. 293 Siemion podaje, że 22 lipca wymordowano na Zamku Lubelskim 450 więźniów, zaś w przypisie nr 70 informuje, że R. Moszyński i L. Polcha w książce pt. „Lublin w okresie okupacji” (1964) rzekomo podają niepełną listę ofiar mordu na Zamku. A jak wygląda to nowe spojrzenie Siemiona i rzeczywisty zapis autorów, najlepiej zobrazuje cytat ze s. 53 wspomnianej edycji: Około południa ugrupowało się ufortyfikowane wódr gestapo. Zaniechali oni egzekucji zorganizowanej, a strzelali wprost w tłum, upadając do poszczególnych cel. W ten sposób wymordowano 400—450 osób, jak zresztą większość badanych. Podawana przez niektórych świadków liczba 700—800 osób obejmuje razem i wystrzelonych w przeddzień

egzekucji na Majdank i rozstrzelanych w ostatnich dniach.

Dyskusyjna jest również teza Siemiona w sprawie pół miliona ofiar (s. 294—295), albowiem szczegółowe badania naukowców dowodzą, że w latach okupacji ubito około 340 tys. mieszkańców Lubelszczyzny, przy czym w samym Lublinie zginęło ok. 40 tys. osób.

Szereg błędów znajduje się również w części książki dotyczącej powstawania i działalności ruchu oporu. W Piaskach (s. 75) nie Jerzy Drylak ps. Groźny był jedyną indywidualnością organizacji „Zemsta”, ale przede wszystkim Adolf Koper ps. Michał, późniejszy komendant BCH w pow. lubelskim. Dowódca okręgu GL Paweł Dąbek nie spotkał się nigdy z Wojciechem Jurkiem ps. Wabiej (s. 77). Na s. 63 zaopatrzone błędny komentarzem okupacyjne przejścia Bogdana Parczyńskiego, który wcale nie zginął na Majdanku, lecz zmarł dopiero po wyzwoleniu.

Na s. 79 autor podaje, że Adela Gadzińska ps. Marta była desygnowana przez PPR na sekretarza i referenta prasowego Wojewódzkiej Rady Narodowej, chociaż powszechnie wiadomo, że sekretarzem była od pierwszego posiedzenia Bronisława Czarnata ps. Sława, a referentem prasowym Anna Gadzińska ps. Halina.

Nie sposób wymienić wszystkich nieścisłości i pomyłek, gdyż jest ich bardzo dużo. Denerwuje czytelnika kilkakrotne rozmnazanie jednej i tej samej bitwy partyzanckiej. I tak na s. 166 połączone oddziały AL, AK i BCH (działalność) stoczyły walkę w dniu 24 lipca 1944 r. pod przysiółkiem Lipnik w pow. bychawskim. Nieco dalej na s. 149 ta sama bitwa ma miejsce w pow. lubelskim w lasku Zastawie, między Zukowem a przysiółkiem Lipnik. Na s. 164 stwierdza się, że bliemicka 17 dywizja musiała stoczyć walkę na trasie do Wisły m. in. pod Lipnikiem, a na s. 218 dowiadujemy się, że bitwa ta miała miejsce w Lubelskim pod Zastawie (takiej miejscowości nie było) i dopiero z dalszego opisu wynika, że Zastawie to lokalna na-

zwa niewielkiego lasu przyległego do zachodniego skraju wsi Zuków. Błędnie ponadto nazwano przysiółek Lipnik. Wprawdzie urzędowy spis gmin i miejscowości GG (opublikowany przez okupanta w 1943 r.) przysiółka tego nie uwzględnia, ale mapy polskie przedwojenne i powojenne rejestrują ten przysiółek jako Lipniak, taka sama nazwa występuje w „Dzienniku Urzędowym” lubelskiej WRN, zawierającym wykaz jednostek administracyjnych. Błąd nie został poprawiony również w indeksie, który jest dziełem redakcji a nie autora. Zamiast uporządkowania szeregu nieścisłości, w indeksie zaakceptowano wszystkie błędy, wprowadzając przy tym szereg dodatkowych usterek.

W indeksie nazw geograficznych błędnie łączy się w jeden zapis znaczenie i zasięg okręgu lubelskiego, przy tym pomija się niektóre strony, na których on występuje (s. 77), wymienia się obwody (odpowiednich powiatów), ale pomija się rejony. Błędnie połączono w jeden zapis dwie różne miejscowości o tej samej nazwie — Olszanka, choć w tekście autor potraktował je prawidłowo. Jedną z nich jest położona na obszarze byłego pow. lubelskiego (obecnie bychawski), druga — w pow. krasnostawskim. W indeksie wymieniono pow. rozradowski, który według Siemiona rzekomo przylegał do pow. krańickiego (s. 278). Tymczasem pow. rozradowski w ogóle nie istniał ani przed wojną, ani w latach okupacji, nie istnieje także obecnie.

Szkoda, że książka tak potrzebna dla naszego regionu ukazała się w formie niedopracowanej, o czym świadczą również różnorodny sposób ujęcia dużych jej fragmentów. Sądzę jednak, że autor ma znacznie więcej do powiedzenia w tej dziedzinie i wykorzystując szereg uwag potrafi zrobić z publikacji nową książkę, na miarę swoich wyszkolonych umiejętności publicystycznych.

Zbigniew Hirs

* Leszek Siemion: 2 lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1971, s. 343, cena 30 zł.

Po eksperymentach...

Dokończenie ze str. 5

natychmiastowe — w realizacji złożonych i trudnych zadań, jakie dziś, w nowym etapie, stają przed naszym krajem”.

A zatem rezerwy. Lecz są one rezerwami szkolnictwa żyć nie może. Tym bardziej w dziedzinie inwestycji. Toteż na lata 1971—1975 program przewiduje m. in. oddanie do użytku 546 nowych lub lekcyjnych, przede wszystkim przeznaczonych na wymianę (zł wyznajęcych. Liczba ogólnoszkolących otrzymują trzy nowe budynki — w Lublinie, Horodle i Krańniku. Szkoły zawodowe otrzymają dziewięć obiektów (siedem na wymianę starych szkół i dwa nowe). Planuje się poważnie, tym więcej że i szkolnictwo specjalne dostanie przynajmniej pięć obiektów.

Program postuluje: „Zmienić tradycyjną funkcję nauczyciela, która — ogólnie biorąc — polegała głównie na przekazywaniu uczniom wiadomości, na funkcję nowoczesną, charakteryzującą się tym, że nauczyciel jest umiejętnym organizatorem procesu uczenia się, czynnego, aktywnego i w dużej mierze (w zależności od wieku, przygotowania i poziomu) samodzielnego zdobywania wiedzy przez uczniów”.

Do takiej roli nauczyciel musi być jednak przygotowany. Tymczasem rozmawia z tym bywa. Przykładowo — w liceach ogólnoszkolących w roku szkolnym 1970/71 tylko 82,3 proc. nauczycieli posiadało wykształcenie wyższe, choć zasadniczo powinni mieć wszyscy, bo stanowi ono próg, od którego rozpoczyna się sensowne myślenie o nauczaniu „po nowemu” w tym typie szkoły. Szczególnie słaba sytuacja, gdyby szło o studia wyższe, jest pośród nauczycieli języków zachodnioeuropejskich (tych nauczycieli zresztą w ogóle permanentnie brak w szkolnictwie średnim w tzw. terenie).

Program zakłada, że do roku 1975 wszyscy nauczyciele szkół średnich będą posiadali studia wyższe (nie wliczając w to nauczycieli praktycznej nauki zawodu) oraz że 90 proc. nauczycieli szkół podstawowych osiągnie dodatkowo kwalifikacje. Oby te założenia zostały zrealizowane. W każdym razie twarzo zostało powiedziane: „Nauczycieli, którzy w przewidzianym terminie nie podejmą studiów i nie zdobędą wymaganych od nich kwalifikacji, będzie się przesuwad do innych typów szkół, zgodnie z posładanymi przez nich kwalifikacjami”.

Przy dawnym ilościowym traktowaniu pracy szkoły główna uwaga personelu dydaktyczno-wychowawczego skupiała się — w czym tkwi paradoks — na uczniach najslabszych. Mawiano: ci najlepsi i tak dadzą sobie radę, a idzie przecież o ilość promocji. Powstała sytuacja, w której jednostki najdodolniejsze, najwartościowsze zostawiano samym sobie, marnując niejednokrotnie potencjalne talenty.

Jak zapewnia kurator Tadeusz Kacki, szuka się pilnie kryteriów pracy szkoły, które nie sprowadziłyby się do kanonicznej ilości promocji, lecz mogłyby także sprawdzić jakość wiedzy, przez określenie placówkę ferowane. Jeżliby zaś szło o uczniów posiadających szczególne dyspozycje czy szczególne talenty, to program mówi m. in. o „dalszym tworzeniu w liceach ogólnoszkolących (także dla pracujących) klas sprofilowanych o rozszerzonym programie nauczania i niektórych przedmiotów lub grup przedmiotów”. Tak więc i w tej dziedzinie zapowiadają się perspektywy krzepiące.

Nie jest moim celem ani nie leży w możliwościach krótkiego artykułu analiza całokształtu spraw, jakie ubiegły rok przyniósł szkolnictwu Lubelszczyzny. Tym bardziej trudna jest w tym miejscu głęboka analiza obszernego programu, o którym była mowa, programu skrojonego na lata i domagającego się dalszych ukonkretnień ze strony ludzi kompetentnych. Myślę, że dla społecznej informacji powinna wystarczyć ta próba zarysowania kilku spraw, czasem ogólniejszych, czasem zaś szczególniejszych. I myślę jeszcze, że w nowej sytuacji naszego kraju nie będzie tylko zwyczajnym fraszem powtórzenie za autorami programu:

„Unowocześnienie całokształtu pracy w szkołach i placówkach wychowawczych to zapewnienie naszej gospodarce i kulturze ludzi pracujących, odpowiedzialnych, krytycznych i twórczych, wyposażonych w duży zasób wiedzy i umiejętności posługiwania się nią w różnorodnych sytuacjach, ludzi wrażliwych na piękno i umiających tworzyć dobra jeszcze piękniejsze, wrażliwych na niesprawiedliwość, a zarazem mających odwagę walczyc z złem, niesprawiedliwością, ciemnotą i zacofaniem”.

Maciej Podgórski

JAK zwykle budzik zadzwonił o czwartej rano. Nie otwierając oczu, uciszyłem go przez nacisnięcie guziczka, leniwie opuściłem nogi na podłogę, stopami odsukałem pantofle. Pół wygięty leżałem tak długo — aż ostra krawędź łóżka sprawiła mi ból, dopiero wtedy zapaliłem światło. Podtrzymując ręką kalesony podszedłem do okna i odchyliłem firankę. Na dworze było jeszcze ciemno, lecz strugi wody spływające po szybach wystarczyły mi za najlepszą informację o pogodzie.

— Cholera — zakląłem półgłosem.
— Mówiłeś coś? — zapytała żona.
— Powiedziałem, że psa szkoda z domu wygonić w taką pogodę.
— Leje.
— Jak diabli.

Zapaliłem pod kuchnią drewno przygotowane wieczorem. Nim zagotowało się mleko, włożyłem spodnie, buty, bluzę, spałem walcik ziemniakami paskiem.

— Boliś, nie zapomnij śniadania — przypomniała mi Hela. „Boliś”, psiakrew. Tyła lat po ślubie Boliśa sobie przypomniała, ale nie zwróciła się z blagoty i nie podała człowiekowi kromki chleba.

— Nie zapomnę — zapewniłem ją.
Budzik wskazywał czwartą trzydziestą. Należało się spieszyć. Autobus zakładowy do Puław odjeżdżał z Nałęczowa za godzinę, a przede mną było jeszcze pięć kilometrów jazdy rowerem. Wypiłem mleko parząc sobie usta, wrzuciłem do toczki dwie pajdy chleba z boczkiem. Byłem gotów do drogi.

Wyprowadziłem rower z komórki, całym ciężarem ciała sprawdziłem czy w dętce jest dosyć powietrza. Niepokoiła mnie przednia opona w dwóch miejscach wzmocniona grubym sznurkiem. Już od lata przyrzekałem sobie kupić nową, lecz zawsze były inne, pilniejsze potrzeby.

Trochę się rozwidniło i deszcz przestawał padać. Przez wioskę jechałem wolno w nadziei, że spotkam kolegów. We wszystkich oknach paliły się już światła, kobiety szykowały śniadania, trzasnęły drzwi, u Borysów huczał motor w sieczkarni.

Wyjechałem chyba ostatni z naszej dwunastoosobowej paczki, bo nie napotkałem nikogo znajomego. Nacisnąłem mocniej na pedały. Zaraz za wioską skręciłem na pełną ścieżkę skracającą drogę od Słotwin do Nałęczowa o dobre trzy kilometry. Wprawdzie błotnista ziemia kleiła się do opon, rzucano mną na wszystkie strony, ale pocieszałem się, że w lesie jazda będzie łatwiejsza. I rzeczywiście. Wśród drzew piasek ubity był jak asfalt.

Spóźniony świt spływał po gałęziach ślamazarnie. Całą uwagę, pamięć i doświadczenie kilkunastu lat doświadczeń dojazdów skupiłem, byle nie wpaść na drzewo, bądź nie wywinąć koła na którymś z rozlicznych pników. Nie dziwnego, że gwałtownie nacisnąłem hamulec, kiedy wyrosła przede mną jakaś postać.

— Ki dabeli? — warknąłem.
— Bolek, nie poznajesz mnie?
— Kto taki?
— Zejdz na chwilę ze ścieżki.
— Nie mam czasu.
— Na litosę boską, zejdz. W tobie cała moja nadzieja.
— To ty, Adam?
— Nareszcie mnie poznałeś.
— Po głosie, bo twarzy jeszcze nie widzę. Nacisnąłeś kapelusza na czoło jak proboszcz. Co ty tutaj robisz? Co się z tobą dzieje?
— Wejdźmy za krzaki.

Oparłem rower o pierwsze drzewo, poszedłem za Adamem kilkanaście kroków. Miał na sobie długą, teraz całkowicie przemoczoną jesionkę, półbuty i kapelusza z szerokim rondem. Ubrany był niby po miejsku, ale wyglądał biednie, po prostu budził litosę.

Adam Kopeć pracował przed paroma laty w naszej gminnej spółdzielni. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd pochodzi. Przysłali go do nas z powiatu, kazali wybrać na prezesa i tak został. Ożenił się z Wandą Leduchówną, nawet posażną panną, a że człowiek był uczynny i niejednemu pomógł — Słotwiny przyjęły go za swego.

Jakieś trzy lata temu, pamiętam było to wiosną, przed walnym zebraniem wybuchła bomba. Komisja z tego samego powiatu, który przysłał do nas Adama, wykryła w spółdzielni nadużycia. Ludzie gadali, że brakowało towarów na czterdzieści tysięcy złotych. Adam przysięgał, że jest niewinny — prawdę mówiąc żył ostatnio tylko dzięki żonie — ale nie dano mu wiary. Wtedy znikł jak kamfora i zobaczyłem go dopiero teraz. Nikt, nawet Wanda nie wiedziała, co się z nim stało.

Było już zupełnie widno. Patrzyłem na jego bladą twarz z kilkudniowym zarostem, podkrążone oczy. Dawniej trzymał się prosto, teraz stał pochylony jakby mu głowa ciążyła.

— Człowieku, — zawołałem — jak ty wyglądasz? Co z tobą?
— Ukrywałem się. Szukają mnie jeszcze?
— Nikt cię nie szuka i nie szuka. Chyba tylko Wanda.
— Co u niej?
— Żyje.
— Sama?
— Z rodzicami — odpowiedziałem szybko niż należało. — Dlaczego nie idziesz do domu?

— Pocałujcie mnie w... — przerwałem do cinki. Usiadłem na swoim miejscu i udawałem drzemkę. O tej porze żaden z robotników dojeżdżających codziennie do pracy nie bywa rozmowny. Nawet ich żarty są krótkotrwałe, śmiech zwięzły.

— Siadaj już?
— Nie. Dopiero na piątek obiecali mi traktor.
— W kółku?
— Tak.
— Ależ ten Makowski chrapie.
— Dzwisz się? Wczoraj do jedenastej w nocy zwoził ziemniaki.

Autobus przechylał się na zakrętach, piszczały opony, wpadaliśmy na siebie jak łapat cementu, dziesięć piasku, wapno, żnów piasek, cement, wapno. W pierwszej godzinie słyszysz doskonale pracę betoniarzki, potem nie docierają do mnie jej natężające się i słabnące dźwięki. Nie mam chęci do rozmowy, tracę nawet świadomość tego, że gdzieś z bliska obserwuje mnie majster.

— Bolek, powiedz prawdę — Makowski wbił łopatę w piasek, zapalił papierosa, poczęstował mnie — nie chcecie mieć więcej dzieci, czy nie możecie? Jedno to za mało.
— Takis ciekawy? — rozśmiałem się.
— Pewno, że tak. Bo widzisz, tyś ocytany, mógłbyś człowiekowi pomóc, doradzić.

— W czym?
— Nie będziesz nikomu opowiadał?
— Nie martw się.
— Już nie wiem jak dalek żyć. Choć człowiek pracuje jak wół, to przychodzi taka chwila, że się ma ochotę zbliżyć do kobiety.

— To znaczy, że jesteś zdrowy.
— Ale co rok — to prorok. Już sześciopro drobiazgów w chałupie. Ile tego jeszcze będzie?
— Ależ ty głupi. Nie mogłeś wcześniej o to zapytać lekarza?
— Doktorowi nic do tego. Ciebie proszę o pomoc.

Zaczęliśmy rozmawiać o naszych męskich sprawach, z kolei ja poczęstowałem Makowskiego papierosem i tak schodził czas. Warkot mieszkarki dawno zezłżał, ale nie zwróciłem na to uwagi całkowicie pochłonięci interesującym tematem.

— Do roboty lenie — usłyszałem krzyk majstra. — Wy gnojki. Obserwuję was od godziny. Na pogawranki tu przyjeżdżacie? Do roboty, mówię.

Makowski w pośpiechu chwycił swoją łopatę, wyrwał ją z piasku, upuścił na ziemię, schylił się po nią. Okazywał gorliwość każdym ruchem. Miałem dość pokrzykiwania, wymysłów, lekkowazącego traktowania. Podszedłem blisko majstra. Musiał zauważyć coś w moich oczach, bo cofnął się o krok.

— No, no, Lapy przy sobie — powiedział, choć pozornie byłem zupełnie spokojny.
— Panie majster — zniżyłem głos do szeptu, — nie chcę kłótni, lecz jeśli jeszcze raz usłyszę „chłopek”, „gnojek” czy podobne słowo — to dam w mordę. Zrozumiano?
— Takis ty? — odskoczył na bezpieczną odległość. — W mordę dasz? Już ja się postaram, żeby twoja noga nie stanęła jutro na budowie.

— A ja się postaram, żeby budowa znalazła innego majstra.
— Zobaczymy.
— Zobaczymy.

— Teraz do roboty — krzyknął.
Jakbym nie słyszał tego krzyku — zwróciłem się do Makowskiego.

— Czas na przerwę śniadaniową — oświadczyłem. — Idę do kiosku kupić coś do zarcia. Przyplnij moich kłopotów.
— Bolek, nie zadzieraj z nim.
— Przeżna.

Szedłem na przelaj przez plac z rękami schowanymi w kieszenie spodni. Niech łobuz widzi, że nie sobie nie robię z jego pogroźek. W bramie pokazałem przepustkę.

— Tylko do kiosku — mruknąłem.
Strażnik obejrzał papier dokładnie, skinął głową. Zbyt często zmieniali się tutaj ludzie aby mógł zapamiętać wszystkie twarze.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

Było już zupełnie widno. Patrzyłem na jego bladą twarz z kilkudniowym zarostem, podkrążone oczy. Dawniej trzymał się prosto, teraz stał pochylony jakby mu głowa ciążyła.

— Cholera — zakląłem półgłosem.
— Mówiłeś coś? — zapytała żona.
— Powiedziałem, że psa szkoda z domu wygonić w taką pogodę.
— Leje.
— Jak diabli.

Zapaliłem pod kuchnią drewno przygotowane wieczorem. Nim zagotowało się mleko, włożyłem spodnie, buty, bluzę, spałem walcik ziemniakami paskiem.

— Boliś, nie zapomnij śniadania — przypomniała mi Hela. „Boliś”, psiakrew. Tyła lat po ślubie Boliśa sobie przypomniała, ale nie zwróciła się z blagoty i nie podała człowiekowi kromki chleba.

— Nie zapomnę — zapewniłem ją.
Budzik wskazywał czwartą trzydziestą. Należało się spieszyć. Autobus zakładowy do Puław odjeżdżał z Nałęczowa za godzinę, a przede mną było jeszcze pięć kilometrów jazdy rowerem. Wypiłem mleko parząc sobie usta, wrzuciłem do toczki dwie pajdy chleba z boczkiem. Byłem gotów do drogi.

Wyprowadziłem rower z komórki, całym ciężarem ciała sprawdziłem czy w dętce jest dosyć powietrza. Niepokoiła mnie przednia opona w dwóch miejscach wzmocniona grubym sznurkiem. Już od lata przyrzekałem sobie kupić nową, lecz zawsze były inne, pilniejsze potrzeby.

Trochę się rozwidniło i deszcz przestawał padać. Przez wioskę jechałem wolno w nadziei, że spotkam kolegów. We wszystkich oknach paliły się już światła, kobiety szykowały śniadania, trzasnęły drzwi, u Borysów huczał motor w sieczkarni.

Wyjechałem chyba ostatni z naszej dwunastoosobowej paczki, bo nie napotkałem nikogo znajomego. Nacisnąłem mocniej na pedały. Zaraz za wioską skręciłem na pełną ścieżkę skracającą drogę od Słotwin do Nałęczowa o dobre trzy kilometry. Wprawdzie błotnista ziemia kleiła się do opon, rzucano mną na wszystkie strony, ale pocieszałem się, że w lesie jazda będzie łatwiejsza. I rzeczywiście. Wśród drzew piasek ubity był jak asfalt.

Spóźniony świt spływał po gałęziach ślamazarnie. Całą uwagę, pamięć i doświadczenie kilkunastu lat doświadczeń dojazdów skupiłem, byle nie wpaść na drzewo, bądź nie wywinąć koła na którymś z rozlicznych pników. Nie dziwnego, że gwałtownie nacisnąłem hamulec, kiedy wyrosła przede mną jakaś postać.

— Ki dabeli? — warknąłem.
— Bolek, nie poznajesz mnie?
— Kto taki?
— Zejdz na chwilę ze ścieżki.
— Nie mam czasu.
— Na litosę boską, zejdz. W tobie cała moja nadzieja.
— To ty, Adam?
— Nareszcie mnie poznałeś.
— Po głosie, bo twarzy jeszcze nie widzę. Nacisnąłeś kapelusza na czoło jak proboszcz. Co ty tutaj robisz? Co się z tobą dzieje?
— Wejdźmy za krzaki.

Oparłem rower o pierwsze drzewo, poszedłem za Adamem kilkanaście kroków. Miał na sobie długą, teraz całkowicie przemoczoną jesionkę, półbuty i kapelusza z szerokim rondem. Ubrany był niby po miejsku, ale wyglądał biednie, po prostu budził litosę.

Adam Kopeć pracował przed paroma laty w naszej gminnej spółdzielni. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd pochodzi. Przysłali go do nas z powiatu, kazali wybrać na prezesa i tak został. Ożenił się z Wandą Leduchówną, nawet posażną panną, a że człowiek był uczynny i niejednemu pomógł — Słotwiny przyjęły go za swego.

Jakieś trzy lata temu, pamiętam było to wiosną, przed walnym zebraniem wybuchła bomba. Komisja z tego samego powiatu, który przysłał do nas Adama, wykryła w spółdzielni nadużycia. Ludzie gadali, że brakowało towarów na czterdzieści tysięcy złotych. Adam przysięgał, że jest niewinny — prawdę mówiąc żył ostatnio tylko dzięki żonie — ale nie dano mu wiary. Wtedy znikł jak kamfora i zobaczyłem go dopiero teraz. Nikt, nawet Wanda nie wiedziała, co się z nim stało.

Było już zupełnie widno. Patrzyłem na jego bladą twarz z kilkudniowym zarostem, podkrążone oczy. Dawniej trzymał się prosto, teraz stał pochylony jakby mu głowa ciążyła.

— Człowieku, — zawołałem — jak ty wyglądasz? Co z tobą?
— Ukrywałem się. Szukają mnie jeszcze?
— Nikt cię nie szuka i nie szuka. Chyba tylko Wanda.
— Co u niej?
— Żyje.
— Sama?
— Z rodzicami — odpowiedziałem szybko niż należało. — Dlaczego nie idziesz do domu?

— Pocałujcie mnie w... — przerwałem do cinki. Usiadłem na swoim miejscu i udawałem drzemkę. O tej porze żaden z robotników dojeżdżających codziennie do pracy nie bywa rozmowny. Nawet ich żarty są krótkotrwałe, śmiech zwięzły.

— Siadaj już?
— Nie. Dopiero na piątek obiecali mi traktor.
— W kółku?
— Tak.
— Ależ ten Makowski chrapie.
— Dzwisz się? Wczoraj do jedenastej w nocy zwoził ziemniaki.

Autobus przechylał się na zakrętach, piszczały opony, wpadaliśmy na siebie jak łapat cementu, dziesięć piasku, wapno, żnów piasek, cement, wapno. W pierwszej godzinie słyszysz doskonale pracę betoniarzki, potem nie docierają do mnie jej natężające się i słabnące dźwięki. Nie mam chęci do rozmowy, tracę nawet świadomość tego, że gdzieś z bliska obserwuje mnie majster.

— Bolek, powiedz prawdę — Makowski wbił łopatę w piasek, zapalił papierosa, poczęstował mnie — nie chcecie mieć więcej dzieci, czy nie możecie? Jedno to za mało.
— Takis ciekawy? — rozśmiałem się.
— Pewno, że tak. Bo widzisz, tyś ocytany, mógłbyś człowiekowi pomóc, doradzić.

— W czym?
— Nie będziesz nikomu opowiadał?
— Nie martw się.
— Już nie wiem jak dalek żyć. Choć człowiek pracuje jak wół, to przychodzi taka chwila, że się ma ochotę zbliżyć do kobiety.

— To znaczy, że jesteś zdrowy.
— Ale co rok — to prorok. Już sześciopro drobiazgów w chałupie. Ile tego jeszcze będzie?
— Ależ ty głupi. Nie mogłeś wcześniej o to zapytać lekarza?
— Doktorowi nic do tego. Ciebie proszę o pomoc.

Zaczęliśmy rozmawiać o naszych męskich sprawach, z kolei ja poczęstowałem Makowskiego papierosem i tak schodził czas. Warkot mieszkarki dawno zezłżał, ale nie zwróciłem na to uwagi całkowicie pochłonięci interesującym tematem.

— Do roboty lenie — usłyszałem krzyk majstra. — Wy gnojki. Obserwuję was od godziny. Na pogawranki tu przyjeżdżacie? Do roboty, mówię.

Makowski w pośpiechu chwycił swoją łopatę, wyrwał ją z piasku, upuścił na ziemię, schylił się po nią. Okazywał gorliwość każdym ruchem. Miałem dość pokrzykiwania, wymysłów, lekkowazącego traktowania. Podszedłem blisko majstra. Musiał zauważyć coś w moich oczach, bo cofnął się o krok.

— No, no, Lapy przy sobie — powiedział, choć pozornie byłem zupełnie spokojny.
— Panie majster — zniżyłem głos do szeptu, — nie chcę kłótni, lecz jeśli jeszcze raz usłyszę „chłopek”, „gnojek” czy podobne słowo — to dam w mordę. Zrozumiano?
— Takis ty? — odskoczył na bezpieczną odległość. — W mordę dasz? Już ja się postaram, żeby twoja noga nie stanęła jutro na budowie.

— A ja się postaram, żeby budowa znalazła innego majstra.
— Zobaczymy.
— Zobaczymy.

— Teraz do roboty — krzyknął.
Jakbym nie słyszał tego krzyku — zwróciłem się do Makowskiego.

— Czas na przerwę śniadaniową — oświadczyłem. — Idę do kiosku kupić coś do zarcia. Przyplnij moich kłopotów.
— Bolek, nie zadzieraj z nim.
— Przeżna.

Szedłem na przelaj przez plac z rękami schowanymi w kieszenie spodni. Niech łobuz widzi, że nie sobie nie robię z jego pogroźek. W bramie pokazałem przepustkę.

— Tylko do kiosku — mruknąłem.
Strażnik obejrzał papier dokładnie, skinął głową. Zbyt często zmieniali się tutaj ludzie aby mógł zapamiętać wszystkie twarze.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

— Nie stój tam za długo.
— To się wie.

Przed kioskiem stała długa kolejka ludzi. Urzędnicy i robotnicy przemieszani z sobą, wygadani kierowcy, ociężały ładowacz skracali oczekiwanie rozmowami. Zająłem miejsce. Drewniany kiosk miał niski daszek, przednia ściana była w połowie oszklona. Za szybą leżały sterty pieczywa, puszki konserw rybnych lśniły jak wyroby ze szlachetnego metalu.

— Dziesięć deko kielbasy i piwo.
— Dwa piwa.
— Dziesięć deko kielbasy i dwie bulki. Zamówienia były bliźniaczo do siebie podobne. W powietrzu unosił się odór skisłego piwa, pachniały wędliny i wędzące igliwie sosnowego lasu. Piaski i budowa. Las i kominy; Chłopskie zagony i koleiny wleotłonych samochodów ciężarowych.

Kiedy wróciłem, Makowski siedział na workach cementu. Kończył śniadanie.
— Przychodzili do ciebie z Rady Zakładowej — poinformował mnie między jednym a drugim kęsem.
— Po co?
— Masz się u nich zgłosić.
— Czyżby majster zdążył mi się przyśłużyć?
— Chyba nie. To jakaś inna sprawa.

Spotkanie o świcie

Adolf Lekki

— Nie mogę. Nie chcę jej narażać. Ktoś mógłby mnie zobaczyć, donieść milicji.

— Dobryś sobie — zadrwiłem. — Zostawiasz kobietę samą na kilka lat, pętasz się nie wiadomo gdzie i twierdzisz, że nie chcesz jej narażać. To świństwo.

— Bolek, ja naprawdę nie wziąłem tych pieniędzy.

— Więc po co się ukrywasz?
— Gdybyś ty wiedział. Gdybyś ty wiedział — powtórzył. W głosie znać było z trudem hamowane łzy, więc choć jego nieoczekiwany powrót mógł mi przysporzyć wielu kłopotów, odczułem litosę.

— Zmarłeś — stwierdziłem.
— Bardzo. Przyjechałem do Puław po północy, pieszo przyszedłem aż tutaj.

Oparł się plecami o wysokie drzewo. Widziałem jak drżą pod nim nogi. Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek jest poważnie chory.

— Jedziesz do pracy?

Przypomniał czekającą mnie drogę. Jeśli autobus odjedzie, nie zdąży na dniówkę, przepadnie premia, zaczyna się korowody z usprawiedliwieniem. Na to nie mogłem sobie pozwolić.

— Tak i naprawdę bardzo

Literackie drogi Ozoga

JAN Bolesław Ozóg wybitny poeta, którego każdy nowy tom wierszy utwierdza jego wysoką pozycję we współczesnej polskiej literaturze...

Ozóg był raczej skazany na własne siły i do czasów wojny, choć zdolał ujawnić się jako utalentowany poeta, miał kontakty ograniczone. W jego książce daje się wyczuć kompleks wobec wielkiego świata literackiego...

W przekonaniu Czernika poezja Ozoga wcielała najlepiej zasady autentyczności. Ale autor „Ogiera i makolągwy” nie chciał zamykać się w ramach ortodoksyjnego, Czernikowskiego autentyzmu...

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Krzyżówka nr 18

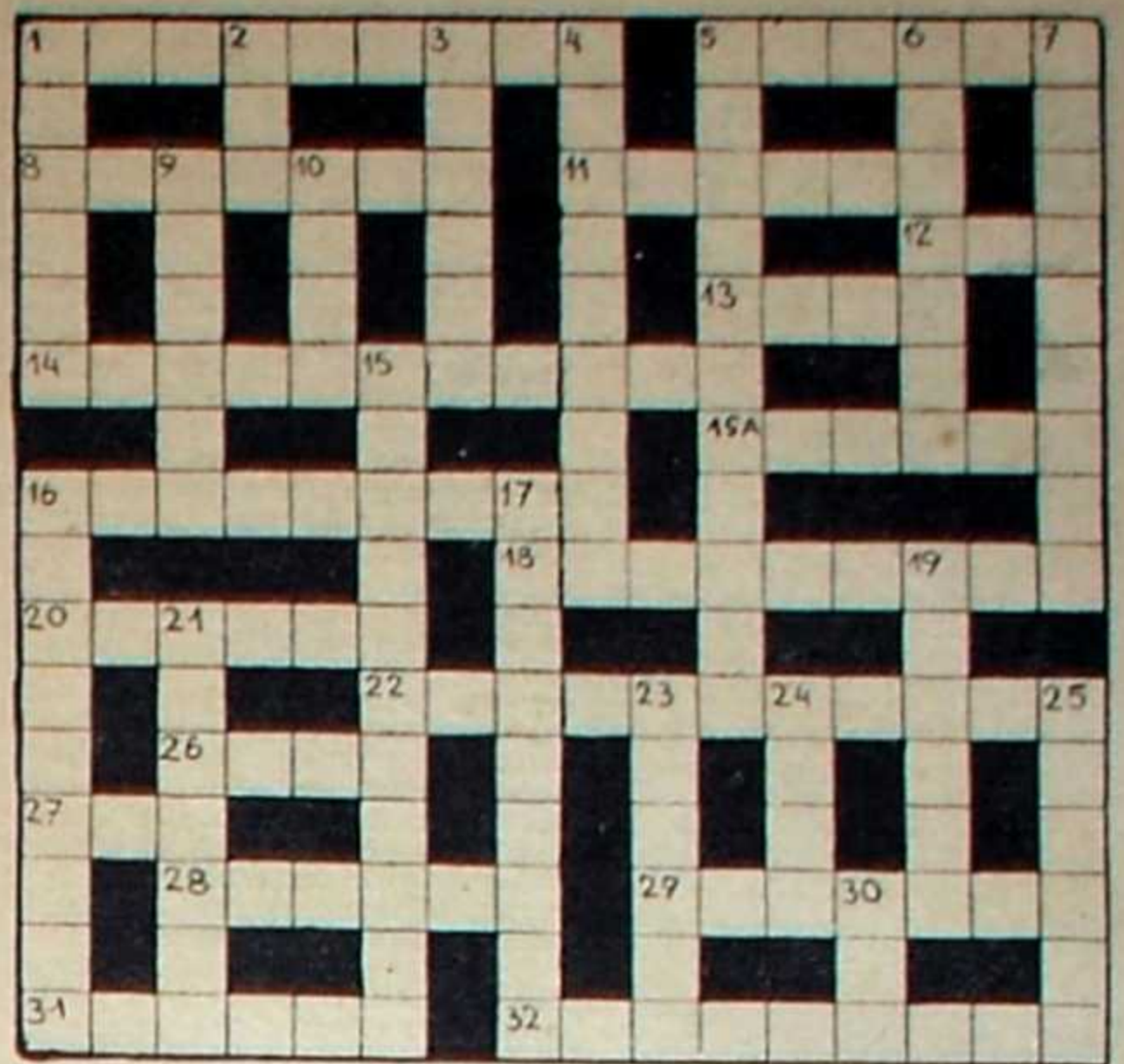
POZIOMO:

1. współczesny Rejowi pisarz lubelski, tłumacz Psalterza, 5. powieściopisarz polski, autor „Próchna”, 2. waina biała, 11. dąbe narzecz podwarszawskiemu zalewowi, 12. przywódca radzieckiej republiki na Węgrzech, 13. fiaska gra w karty, 14. poeta polski z XIX wieku, zwany lirnikiem mazowieckim, 15a. najwyższy szczyt Wielkiego Kaukazu, 16. heraldyk polski, autor obszernego herbarza, 20. tor, po którym poruszają się pewne ciała, 21. sport zimowy, 25. wykonanie utworu muzycznego przez jednego wykonawcę ew. z akompaniamentem, 27. miasto w Maroku lub na Krycie Głowy, 28. przedstawiciel państwa za granicą zajmujący się sprawami stosunków gospodarczych, 29. francuski chemik, twórca metody wytworzenia sody, 31. polski działacz robotniczy w ZRP, SDKPiL i KPP, skazany na podstawie fałszywych oskarżeń, 32. kierunek poetycki, któremu we wczesnym okresie ulegał Jesienin.

PIONOWO:

1. miasto w USSR utrzymujące kontakty z Chetmem, 2. imię pisarki, której dzieła zebrane przygotowuje do druku Wydawnictwo Lubelskie, 3. nasienie, 4. zmarły w 1941 roku postępowy socjolog, ekonomista polski, autor wydanych po wojnie wspomnień, 5. wraz z Kornackim tworzyła w ramach grupy „Przedmieście”, 6. wyborca w wyborach pośrednich, 7. krytyk i historyk literatury z przełomu XIX i XX, autor „Teki Stańczyka”, 8. angielski malarz i grafik, prekursor impresjonizmu, 10. zdobył czoło zwycięzcy, 15. polski ornitolog z wieku XIX, twórca z tomowego dzieła „Ptaki krakowskie”, 16. kompozytor radziecki, twórca baletu opartego na znanej tragedii Szekspira, 17. ilustrator „Pana Tadeusza”, 18. obce słowa w tekście, 21. mieszkaniec republiki autonomicznej na wschód od Włgi i zachód od Uralu, 23. sielanka, 24. czerwokat o równych bokach, 25. w Brzesku, stynie browarem, 30. roślinna włókniśnica.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru



pod adresem redakcji (Lublin, skr. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 nagrody wylosowali: Jan Jednacz, Lubartów, ul. 25 Października 25; Wacław Helcarz, Lubartów, ul. Krzywe Kolo 35; Wojciech Zawisza, Lublin Droga Mecz. Majdanka 32 m. 18; Maria Szklarczyk, Włodawa, Szpital Powiatowy.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18

POZIOMO: PPR, Wiek, Antek, Olszak, Syry, oberok, Nęsa, Iga, Polska, Oka, Nisko, Kajka, Staszic, ZMW, Bór, Iwnicz, Zlotoryja, Radom, Kosak, Konin, Stalmach.

PIONOWO: Pol, Raabe, Wyspiński, Car, Tarlo, Kokosko, sanacja, Krak, Wis, Sola, Anna, Klimczok, San, Arkadia, Włodawa, Leo, Boy, ONR, Raksa, MO, Sas.

Honory bez orderów

Dokończenie ze str. 6

odszedł z oddziałem „Czarnego” z Woli Wereszczyńskiej w lasy parczewskie. Po upływie około 10 dni oddział i sztab „Czarnego” znów przetrucili się do majątku Honorych i pewnego wieczoru — po uprzednim rozpoznaniu sytuacji przez Zenona — uderzył na pałac w Zosinie koło Sobiboru nad Bugiem, gdzie stało 140 Niemców z formacji strażnicy granicznej. Atak na pałac był tak gwałtowny, że budynek opa-

nowano błyskawicznie i Niemcy zostali całkowicie rozbrojeni. Związkowca-przewodnikiem oddziału był Zenon Honory, który świetnie podprowadził partyzantów i sam wszedł do akcji mimo rany odniesionej pod Wolą Wereszczyńską. Zdobyto dużo broni, umundurowania, kilka wozów z kołmi, wyładowanych amunicją i żywnością. W akcji tej ujęto również kilku gestapowców. W drodze powrotnej rozbito niemieckie punkty zaopatrzenia w Sobiborze-Osowie oraz urząd gminny w Hańsku, gdzie spalono dokumentację. Oddziały „Czarnego” zlikwidowały placówki niemieckiej administracji oraz obiekty gospodarcze w całej okolicy.

Z rodu Honorych pozostał do dziś w rodzinnej wsi, Bartoszykach, tylko Zenon Honory i jego brat Antoni. Obaj uprawiają ojcową ziemię. Ojciec, Roman Honory, ów twardy pień całego drzewa genealogicznego, już nie żyje. Zmarł w 1953 roku. Aleksander Honory, który pracował w Landwirtschafcie we Włodawie, gdzie wyrabiał dokumenty legalizacyjne dla partyzantów i prowadził wywiad dla „Czarnego” w siedzibie niemieckich władz powiatowych, dożył się stopnia majora Ludowego Wojska Polskiego. Zofia Posłuszna, po zamordowaniu jej męża Władysława przez gestapo, nadal pracowała w konspiracji. Po przybyciu na te tereny zgrupowania partyzanckiego ppłk. Banowa Zofia Posłuszna, obecnie Wójtowa, wstąpiła w jego szeregi, pełniąc do końca wojny funkcję łącz-

niczki oraz sanitariuszki. Działalność jej została opisana w „Woj-skowym Przeglądzie Historycznym” (III kwartał, 1959, s. 53-54). Jeden z Honorych, Zbigniew, jako sierżant KBW, zginął w marcu 1947 roku pod Baligrodem w walce z bandą UPA, która dokonała za-sadzki na gen. Karola Świerczewskiego.

Najbardziej czynny i zaangażowany w działaniach partyzanckich, Zenon, przez całe dwudziestolecie-cielecie Polski Ludowej żyje jak przystało na Honorych. Zaraz po wyzwoleniu powołano go na przewodniczącego miejscowej komisji reformy rolnej, aby obdzielił ziemią małorolnych, w 1949 roku wybrano go prezesem organizacji ZSCh w Wojciechowie, a w 1951 r. prezesem Zarządu ZSCh na gminę Hańsk. W roku 1959 powołano go na ławnika Sądu Powiatowego we Włodawie, a ponadto wybrano soltysiem wsi Wojciechów i radnym GRN w Kulczynie. Od 1960 roku był i jest nadal sekretarzem POP w Wojciechowie.

14 czerwca 1957 roku przyjechał do Bartoszych (Wojciechowa) i zjawił się nagle w domu Zenona sam Banow, obecnie Bohater Związku Radzieckiego. Serdeczne to było spotkanie, pełne wspomnień dawnych walk i zwycięstw. Spytałem kiedyś Zenona Honorego, jakie posiada odznaczenia z lat wojny lub po wyzwoleniu. Nie nie odpowiedział. Jeden z miejscowych pościagnął mnie z tyłu za rękaw: panie szanowny, tak często bywa — honory bez orderów! Stefan Marczo

Wymiana kulturalna z zagranicą

Na przestrzeni istnienia Polski Ludowej nawiązałyśmy trwałe i stale pogłębiające się kontakty kulturalne prawie ze stu krajami Europy, Azji, Ameryki Południowej, Ameryki Łacińskiej i Australii. Zawarliśmy 40 bilateralnych umów o współpracy kulturalnej, które ustalają podstawowe kierunki wymiany z poszczególnymi krajami, wycieczają także perspektywy rozwoju tych kontaktów w różnych dziedzinach sztuki i kultury. Równolegle z tym nurtem rozwija się działalność wynikająca z bezpośrednich, doraznych porozumień między poszczególnymi instytucjami artystycznymi i kulturalnymi (muzea, galerie sztuki, biblioteki, teatry itd.), stowarzyszeniami i związkami twórczymi oraz agencjami impresaryjnymi i handlowymi.

Kolonja, Wrocław-Berlin Zachodni, Bydgoszcz-Reggio Emilia. Corocznym plonem tej działalności jest wysyłanie za granicę ok. 300 wystaw artystycznych i przyjmowanie przez Polskę ok. 200 ekspozycji z różnych krajów oraz skierowanie na zagranicę tournée 200-250 zespołów muzycznych, teatralnych i estradowych.

W Polsce organizujemy występy ponad 100 artystycznych zespołów zagranicznych. Około tysiąca solistów polskich występuje rocznie na estradach krajów wszystkich kontynentów, podczas gdy w Polsce przyjmujemy rocznie ok. 500 artystów (wokalistów, instrumentalistów, tancerzy, dyrygentów).

Prowadzimy również szeroką wymianę w dziedzinie filmu oraz przekładów literackich i dramaturgicznych. Jak również realizujemy wymienną stypendialną, obejmującą zarówno studentów zagranicznych dla polskich artystów i twórców, jak i przyjmowanie cudzoziemców do polskich szkół artystycznych i na stałe do instytucji kulturalnych.

Obecność polskiej sztuki na międzynarodowych imprezach artystycznych wyraża się corocznie udziałem wielu młodych wykonawców na ok. 20 konkursach muzycznych, występami zespołów orkiestrowych, oper i teatrów na kilkunastu międ-

zynarodowych festiwalach, wyświetlaniem polskich filmów na ponad 70 festiwalach filmowych oraz prezentacją polskiej plastyki na ponad 50 międzynarodowych wystawach roczne.

Kraj nasz bierze również udział w pracach UNESCO i w 68 międzynarodowych organizacjach z zakresu sztuki i kultury.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIOSŁAW DEBECKI, EUGENIUSZ J. KAMISKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KROLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe BSW PRASA, Lublin, Aljeja Baclawieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, ul. Unieka 4.

Numer Ismael KONSTANTY KEPA Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35 Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 233-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 234-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconca i ekspresowa — pod adresem redakcji. L.Z.Graf. Zam. 2038. 11.VIII.73. 7.625 A-3

Jan Bolesław Ozóg: Na mojej drodze. Wspomnienia. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

Droga bezpośrednią!

ZASTĘPCA kierownika Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, mgr Zygmunt Kosek, skierował do mnie pismo następującej treści:

Do Wydziału Kultury PWRN drogę pośrednią wpłynęła już druga skarga anonimowa dotycząca „unormowania warunków równego startu literackiego na terenie lubelskim”.

W skardze zarzuca się m.in., że „Kamena” drukuje „tętnące artykuły i utwory literatów mieszkających poza Lubelszczyzną”, natomiast w stosunku do lubelskich autorów stosuje się zbyt ostre lub nieobiektywne kryteria, że wreszcie to „Kamena” „ustalił sobie gładzą groszorbę”.

Uważa się, że podsumowanie „odpowiednio sformułowanej dyskusji” dokonane przez red. Podgórskiego w artykule „Pompuwanie pisarzy” jest „postrzępiałym” a nie merytorycznym ustosunkowaniem się do istotnego dla pisma problemu.

Na zakończenie skargi proponuje się, aby „Kamena” była przede wszystkim pismem regionalnym dogłębnie zajmującym się sprawami Lubelszczyzny i dlatego na jej łamach należałoby zamieszczać artykuły i utwory twórców lubelskich zarówno profesjonalnych, ludowych jak i regionalnych.

Wydział Kultury PWRN prosi o przedyskutowanie w/w sprawy na kolegium redakcyjnym i rzetelne ustosunkowanie się do nich na łamach czasopisma traktując skargę, choć jest anonimową, jako głos opinii publicznej.

Zanim — zgodnie z prośbą autora — ew. przedyskutujemy w/w sprawę na posiedzeniu kolegium redakcyjnego, chciałbym wyrazić kilka uwag, które nasunęły mi się w związku z lekturą pisma z-cy kierownika Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie.

Mgr Zygmunt Kosek zaleca (7), aby kolegium redakcyjne „Kamena” potraktowało skargę „choć jest anonimowa, jako głos opinii publicznej”.

W tomie piątym „Słownika języka polskiego” pod red. Witolda Doroszewskiego na str. 1031 znajduje się następujące sformułowanie: „Opinia publiczna (skrótowo: opinia) sąd ogółu.”

Nie wiem, na jakiej podstawie jedną, czy dwie anonimowe skargi (które wpłynęły „drogą pośrednią”) można uważać za sąd ogółu. Nawet ankiety rozprawdane w liczbie kilku czy kilkunastu tysięcy traktuje się jedynie jako sondaż opinii publicznej. Sondaż zresztą bardzo wątpliwy, o czym mogliśmy się przekonać chociażby na podstawie ostatnich wyborów parlamentarnych w Wielkiej Brytanii. Bardzo byłoby smutno w naszym kraju, jeśli w podobny sposób kwalifikowano by wszystkie anonimowe skargi. Gdyby np. moim hobby stało się pisanie anonimów, mógłby wysłać ich dziesiątek na ręce Przewodniczącego Prez. WRN, w których wyraziłbym negatywną opinię (przykładów znalazłbym sporo) o pracy chociażby Wydziału Kultury Prez. WRN. Nie sądzę jednak, aby przewodniczący Ryszard Wójcik uznał owe anonimowe „głosy opinii publicznej”, aczkolwiek mógłby powołać specjalną komisję do zbadania stawianych zarzutów. Piszę o tym

dlatego, aby podkreślić, że bynajmniej nie lekceważę anonimów, ale traktuję je z pewnym dystansem. Jeśli bowiem autor czy autorka nie mają odwagi podpisać swojej skargi, nasuwa się uzasadnione pytanie: skąd to tchórzostwo?

W danym przypadku można wnioskować, że anonim wpłynął od jednego czy kilku „lubelskich autorów”, wobec których „Kamena” stosuje „zbyt ostre lub nieobiektywne kryteria”. Bardzo byłbym rad zapoznać się z materiałami, o których w podtekście mowa. I jestem niezmiernie ciekawy, czy skorzasta z nich inne czasopismo społeczno-kulturalne?

Na temat tzw. „pompuwania pisarzy” toczyła się w „Kamieniu” (i nie tylko) ożywiona dyskusja i każdy mógł w niej zabrać głos. Jeśli nie wszyscy zainteresowani zdążyli — nie stracono: lamy „Kamienia” dalej stoją otworem.

Oczywiście autorzy anonimów mogą uważać, że „Kamena” powinna być przede wszystkim pismem regionalnym dogłębnie zajmującym się sprawami Lubelszczyzny i dlatego na jej łamach w 90 proc. „należałoby zamieszczać artykuły i utwory twórców lubelskich zarówno profesjonalnych, ludowych jak i regionalnych”. Ze swej strony pragnę jednak zauważyć, że ten podział na lubelskich twórców „profesjonalnych, ludowych jak i regionalnych” bardzo mnie śmieczy. Najchętniej zamieszczałibyśmy

w „Kamieniu” utwory twórców polskich. Wśród nich przede wszystkim tych, którzy mieszkają w Lublinie. Ale ilu ich jest?

Jeśli chodzi o problemy Lubelszczyzny to — wydaje mi się — poświęcamy im sporo uwagi. Wiele problemów dotyczących spraw gospodarczych, kulturalnych, społecznych naszego regionu znalazło odzwierciedlenie na łamach „Kamienia”. Wystarczy wziąć do ręki roczną zyswkę naszego pisma, albo zajrzeć chociażby do przedruków („Polityka”, „Trybuna Ludu”, „Walka Młodych”, „Magazyn Polski” itd.). Nie oznacza to rzecz jasna, że nasz zespół jest w pełni ze swej pracy zadowolony. Pomocników z zewnątrz (może i autorów anonimów?) zawsze będziemy sobie cenić, zwłaszcza gdy chodzi o reportaże. Niestety, przeważnie musimy liczyć na własne siły (każda redakcja ma jakiś plan, każdy dziennikarz ma obowiązek określonej liczby materiałów napisać, a w dwutygodniku uwiecznić sobie gniazda przez groszorbów jest sprawą niezmiernie trudną właśnie z uwagi na częstotliwość ukazywania się pisma). Na własne siły — podkreślam — gdyż na publicystyce z zewnątrz (jeśli chodzi o konkretny temat) polegać raczej nie należy.

Tu warto jeszcze przypomnieć, że w „Kamieniu” ukazują się raz na kwartał: „Ziemia i Pieśń” oraz „Zapole”. Trudno więc nam czyścić ludowej czy też młodych pisarzy zrzeszonych w lubelskim KKMP. Ba — zamieszczamy też sporo debiutów i utworów poetyckich. Prawda, że nie tylko z Lu-

beliszczyny. Ale przecież „Kamena” jest czytana w całej Polsce. Zamknięcie się we własnych oplotkach byłoby — moim zdaniem — z krzywdą dla czytelnika. Zresztą tradycja też do czegoś zobowiązuje!

Tyle uwag na gorąco. Zainteresowanych jeszcze odsłania do dwóch artykułów Tadeusza Robaka na łamach „Życia Literackiego”, który jeśli czyni zarzut twórcy regionalnym to właśnie za to, że są one... zbyt regionalne. Problem jest zbyt dyskusyjny i sprowadzanie go do procentów po prostu śmieszne.

Autorów anonimów zapraszam 2 września na godzinę 14 do redakcji „Kamienia” (Narutowicza 35, oficyna, prawie sutereny). Gotów jestem z nimi odbyć dłuższą rozmowę przy małej czarnej. Miło mi będzie jeśli z zaproszenia skorzysta również mgr Zygmunt Kosek. Będę się cieszył, gdy Szanowni Autorzy zaprezentują swój dorobek. W razie różnicy poglądów możemy sprowadzić w późniejszym czasie ekspertów z Warszawy czy z Krakowa. Niestety, na ekspertów zagranicznych brak nam funduszy.

A przy okazji chętnie zapoznam się bezpośrednio z treścią anonimów in extenso (tj. w całości, bez opuszczeń, skrótów, zmian — „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” Wł. Kopalińskiego). Panowie, z otwartą przybić! Czas, aby Lublin nie był „stolicą regionu”, ale jednym z miast wojewódzkich pogranicznej polski.

Marek Adam Jaworski

Starzejemy się

RELACJONJAC wypadek drogowy. „Kurier Lubelski” napisał niedawno o mojej sędziwej, mającej już 73 lat — staruszka. I od tego czasu straciła jedną czy dwie perspektywy i porównamy lata 1950 i 1970. To okazało się, że w tym dwudziestoletnim okresie żyjących na tysiąc ludności spada na Lubelszczyznę z 27,8 do 18,5 procent. Prawie o 49 procent! Jeżeli tak dalej pójdzie, rok dwudziestymy możemy powitać demograficznym deficytem, jak to już kilka lat przed wojną zdarzyło się we Francji.

Tabele WUS beznamiętnie wykazują, że w ostatnich dziesięciu latach, od poprzedniego spisu powszechnego, liczba ludności w grupach wieku od 9 do 4 lat i od 5 do 9 lat zmniejszyła się po 75 procent, a wieku od 23 do 29 lat aż o 82,3 procenta, zresztą prawie to samo w grupie 20-24 lat. A więc nie tylko mamy mniej dzieci, ale ubywa nam również, i to jeszcze szybciej, ludzi młodych, stojących dopiero na progu tzw. wieku produkcyjnego, najbardziej dynamicznego — w pracy i w dalszej rozrodości.

Występują tu dwa czynniki równocześnie. Oprócz zmniejszonej liczby urodzeń także migracja poza granice województwa. Obraca się ona w granicach 4-5 tysięcy osób rocznie choć bywało już 8-10 tysięcy, a obejmuje głównie ludzi w wieku 20-34 lat. Wniosek z tego prosty. Ci młodzi ludzie po ukończeniu szkół i wyższych uczelni, chociaż nie tylko o takich chodzi, albo zaraz, albo po krótkim czasie widać niezbyt udanych doświadczeń życiowych na naszym terenie przenoszą się do innych województw. Tam, gdzie znajdują większe szanse życiowe — awansu zawodowego, mieszkania, ogólnych warunków socjalno-bytowych. Głównym magnesem są porty, kopalnie i huty. Jak wido-

mo praca tam nie jest lekka, wymaga wielkiego wysiłku i głowy i rąk. Ta prawidłowość występuje już od szeregu lat i dość wyraźnie zaprzecza temu, co często o naszej młodzieży mówimy: że jest leniwa, że nie umie, że jest nastawiona wybitnie konsumpcyjnie itp. To, że jeden czy drugi w tych portach lub ośrodkach hutniczych znajduje się czasem na marginesie społecznym, jest wprawdzie faktem, ale nie wolno tego generalizować, co w grudniu z taką lubością zrobiono z jednym przykładem.

Gdy byłem w stołecznej szpitalu pokazano mi listę około 300 młodych ślusarzy, sprawczy, blacharzy, techników i inżynierów, łącznie z nazwiskiem projektanta pierwszego wielkiego polskiego masowca, a pochodzących z województwa lubelskiego, w dużej części właśnie z powiatu krasnostawskiego, opatrzone tę listę samymi pochwałami. Gdyby nawet te pochwały zredukować o połowę, chociaż powodu do tego nie widzę, obraz naszej migracyjnej młodzieży byłby bardzo pozytywny.

A ci młodzi ludzie uciekają po prostu dlatego, że u nas, na Lubelszczyźnie, nie mogą znaleźć swojej szansy życiowej. To już obarcza nas, starszych, że tych szans im w dostatecznej ilości i wystarczająco atrakcyjnych nie stwarzamy. Prawda, że żadne województwo nie jest terenem zamkniętym, że każdy obywatel PRL jeżeli nie siedzi w kryminalu ma pełne prawo szukać pracy i mieszkania tam, gdzie mu się podoba, ale jeżeli zjawiska migracji pozawojewódzkiej występują stale od lat kilkunastu, pomijając przemieszczenia powojenne — to dowód, że tych szans młodym ludziom w dostatecznej ilości nie stwarzamy. I czas już, abyśmy się z tym biernie nie godzili, ale bardziej energicznie niż dotychczas zabrał się do stwarzania tych szans.

Równoległe z ubytkiem ludzi młodych notujemy coraz większą liczbę ludzi w starszym wieku. Zwiększa się ona stale nie tylko wskutek stałego przedłużania się życia ludzkiego, co jest zasługą współczesnej medycyny, ale w równym stopniu w wyniku zachowania proporcji między grupami wiekowymi w wyniku omawianej wyżej migracji. I rezultat jest taki, że podczas gdy w roku 1969 ludzi w wieku powyżej lat 60 mieliśmy w województwie 194 tysiące, teraz mamy ich już 289 tysięcy, a więc o 44 procent więcej, z tego około 190 tysięcy na wsi! Myślę, że jest to poważny problem społeczny, gospodarczy także. A najgorsze, że w skali wojewódzkiej nie wyciągamy z

tego żadnych konkretnych wniosków, jeśli zaś wyciągamy — to nie wiada, abyśmy cokolwiek w tej dziedzinie robili. W skali krajowej trzeba tu dużą wagę zapowiedziane wprowadzenie powszechnego ubezpieczenia na wsi. A w skali wojewódzkiej to:

W skali wojewódzkiej ludzie, nie umiejący dostatecznie podszkolić statystyki, będą się cieszyć, że wzrasta aktywność zawodowa mieszkańców województwa. I rzeczywiście tak jest, co WUS lojalnie wykazuje. Przed 10 laty ludność zawodowa czynna stanowiła na Lubelszczyźnie 58,8 procent ogółu ludności, obecnie 67,5 procenta. Ale na wsi, tam gdzie jest najwięcej ludzi starych i w starszym wieku, aktywność zawodowa jest prawie 63 procent. Są to wskaźniki wyraźnie wyższe niż przeciętne w całym kraju, co dodatkowo potwierdza poprzednie rozważania. Szczególnie widoczne jest znowu na wsi, gdzie wskaźnik ogólnokrajowy wynosi 54,4 procenta. Przyczyn tego nie można upatrywać tylko w szczególnie dużym rozdrobnieniu naszych gospodarstw rolnych, ale również w niedostatecznej wciąż mechanizacji rolnictwa i zbyt wolnym tempie komasacji, w wyniku czego wcale pokazuje część wysiłku ludzi na wsi, właściwie siedzi na marne. No a pamiętać trzeba, że są to przeważnie ludzie stary, którzy powinni oszczędzać swoje siły.

Pod roku temu „Kamena” w artykule pt. „O strategii rozwoju Lubelszczyzny” wzywała władze wojewódzkie do nowego, rzeczywistego perspektywicznego spojrzenia na przyszłość Lubelszczyzny. Myślę, że lekceważone, a może nawet nie dostrzeżone zagadnienia demograficzne powinny odgrywać dużą rolę przy opracowywaniu tej strategii. Jeżeli słusznie mówimy, że zarówno produkcja jak i wszystkie niematerialne dziedziny życia powinny służyć człowiekowi — to tego człowieka przede wszystkim musimy wziąć pod uwagę. Oczywiście, żadnym zarządzeniem, nawet apeli o uczucie czy rozsądek nie nakłonimy młodych kobiet do większej liczby urodzeń, a młodych ludzi do pozostania na wsi. Jedno i drugie musi posiadać odpowiednie bodźce w formie ogólnych warunków socjalnych, pracy, mieszkania, zmechanizowania pracy zawodowej i domowej itd. itd. Jak to zrobić — niech się martwią władze wojewódzkie. Chodzi o to, aby odpowiednie stimulatory zostały wprowadzone w ruch możliwie najszybciej, zanim staniami w obliczu już całkiem złej sytuacji demograficznej.

Stanisław Burakiewicz

MINUTA MYŚLENIA

Agituje za latem

URIE, czytać. Czytanie, a więc kontakt z czyjąś indywidualnością, znaczący za artykuł pierwszej potrzeby. Nie wiem tylko dlaczego we współczesnej krytyce powstaje termin o zabarwieniu zdecydowanie pejoratywnym, jeśli nie bagatelizującym, na określenie książki, którą każdy chętnie przeczyta, „Czytało”. W najlepszym razie

jest to książka — poeciwiina spełniająca swą funkcję przy niższych wymaganiach intelektualnych, względnie w okresach zapętlonych, namiastkowych, jak obecnie trwająca kanikula. Czy użytkownicy określenia mają na myśli, że naprawdę dobre dzieło literackie do czytania się nie nadaje?

Osobicie też boleję nad zanikiem we współczesnej literaturze opisu przyrody. Jeden Putrament, no jeszcze Zukowski. Młoda proza całkowicie od tego odeszła, nawet wręcz, nawet podtekstem nie uświadcza, by młody autor miał do tego jakieś stosunek. Czyżby ten obrzytym przez kontakt z przyrodą, był dla nas człowiekiem absolutnie niepotrzebny. Wydawałoby się, że właśnie na zasadzie kompensacji, wobec skąpego współczesnego cywilizacji naturalnego środowiska przyrodniczego, temat ten powinien znajdować się w czołowie pisarskiego zainteresowania.

Na ogół uważa się, że to anarchizm, dziewiętnasty wiek.

Moje Boże, przecież sam człowiek jest wymyślnym nowym, a opisując przyrodę można niekiedy w sposób artystycznie wyekspluować i niekoniecznie środkami ubiegłego stulecia. Nie chodzi przecież o to, jak słońce zachodzi (Andrzej Bursa dla szoku kiedyś stwierdził, że nie widzi estetycznej różnicy między tym przyrodniczym zjawiskiem a miejskim szaletem), nie chodzi o dziergana koronkę stylizowaną na temat pączkowania pierwszych wiosennych listków, ale nie można zaprzeczyć, by klimat czy meteorologia były okolicznościami absolutnie nie kontaktującymi z charakterem naszych stanów emocjonalnych i umysłowych. Czy jedynym rewielerem tematu we współczesności ma być sympatyczny „Wicherek” uparcie lansujący nowy rodzaj literacki pod nazwą „komunikat meteorologiczny”?

A poeta! Na zasadzie przetrutych pojęć powstało przekonanie, że wszystko, co się na temat przyrody w wierszu napisze, musi mieć kompromitujące pokrewieństwo z Młoda Polska. Kompromi-

tuje, bo nawiązujące do manier tego okresu, a nie do jego osiągnięć. Czyżby Leśmian wymieniony jako najwybitniejszy poeta współczesności nie w rekwizytorium przyrody szukał scenografii dla swoich najlepszych wierszy? A Czechowicz? A Przybó wreszcie — awangardowy i bezkompromisowy (czasem aż do zakodowanych obsesji) nie daje w wierszach świadectwa swego, jak mówił, „wiosńskiego horyzontu”, horyzontu w znaczeniu dosłownym, bo szeroko otwartej przestrzeni? Kto dzisiaj? Dla lojalności wypadłoby wymienić Młogorzatę Hillar, bo jakaś tam „mancierzanka” na grzędzie jej wiersza zakwita, ale nie jest to przykład w temacie, ponieważ senna poezja tej autorki nie bardzo na to miasto zasługuje. Trudno. Każdemu wolno mieć indywidualny sąd, nawet felietonista, który wierszy nie pisuje. Wieć może jedna Joanna Kulmowa? Wśród wielu rodzajów rzeczywistych, w jakich się znajdujemy, to przyrody nie jest przecież rzeczywistością transcendentną i odniesienia w tym względzie mają swój pełny aspekt humanistyczny. Uczulicemy fabrykę, uczulicemy środowisko ekologiczne, niechby jedynym świadectwem obecności człowieka w przyrodzie nie były domki campingowe i porzucane w krzakach pudełka od sardynek. Chrońmy lasy nie tylko przed pożarami. Również przed obywatelnością na przykład estetyczną, która dotknięta jest całą nieomal współczesna literatura. Nie zabójmy człowieka pozbawiając go zieleni potrzebnej dla zdrowia i psychicznego.

Dla odlegania się od posiadania o naiwnością spieszą znaną, że nie chodzi mi o „opatrunków dla duszy”. Ze niby współczesność wytwarza cywilizacyjny stress, więc czytajmy o arkadyjskim wieku ludzkim, w którym słuchało się wdziałego śpiewu ptaszka i kontemplowało chóry żab. Niepotrzebny jest współczesny Lucjan Rydel ze zżanej karykatury Sicheskiego. Ale też nie okradajmy się sami z tego, co — proszę o wybaczenie z powodu dużych słów — można określić jako pełnię człowieczeństwa, cały obszar doznań, refleksji humanistycznej. Ocale niebo

Ijon

Odpowiedzi redakcji

E. O. w Warszawie. Listowych odpowiedzi zasadniczo nie udziela się, o czym wiadomo czytelnikom naszego pisma. Wierze Pańskie nie należą do gatunku tych, które by z miejsca wrękały i zachęcały, choć są bardzo poprawne, jeżeliby szło o opisanie współczesnych konwencji poetyckich, i jako takie mogą znaleźć dostęp do publikacji. Pytanie tylko, czy akurat u nas? Bo to i zapasy redakcyjne potęgwe w dziedzinie poezji i teoretycznie bliższy Pan innym redakcjom, które nadal powinny żywcem twarzyć Pańskim początkom w dziedzinie literatury. Proszę wierzyć, to nie jest jakieś „siegające spawianie”, w tym się chyba zawiera prawda Pańskiej sytuacji jako poety. Przynajmniej na razie.

J. Z. L. w Świdnicy. „Sztorm” i „Na siemi ludzi” objawiają poetę dopiero początkującego, który albo nie potrafi jeszcze wybrnąć się doświadczeń „poetyzmów”, albo też popada w meta i nawrta retorykę, której wprawdzie nie można odmówić skuteczności, ale trzeba by odmówić poezji. Zostawia „To pole”, udana próba łączenia motywów opisowych z liryczną refleksją. Ta droga powinna być kroczym, wyzbywając się tylko sformułowań w rodzaju: „puszka z-cyżowa” i tym podobnej... pustej frazeologii. Na razie nie skorzystamy

trudno nam powiedzieć, kiedy talent Pański dojrzeje do publikacji. Oby stało się to jak najszybciej. Pozdrawiamy.

W. K. w Otwocku. Dziękujemy za słowa uznania i szacunku. Ponieważ dary Pańskie redakcji są tak sympatyczne i zaufaniem, przeto chyba łatwiej będzie Panu znieść informację, iż wedle naszego rozważania — wiersze nie posiadają wartości literackich, które kwalifikowałyby je do publikacji. I to wszystko dzieje się mimo pozorów nowoczesnego wierszowania. Przyuszczamy, iż znieście Pan po meku naszą ocenę i zastaniewmy się bez urazy. A jeśli nie, no cóż, taki już nasz redakcyjny los. Wszystkich autorów nie możemy usatysfakcjonować.

Katarzyna z Radzyna Podlaskiego. Przyjmujemy wyjaśnienie. Pytania, które stawiasz, nie są, oczywiście, blabe. Tyle że każdy człowiek musi je wyłożyć na własny użytek i do tego właśnie sam. Zadane rady tutaj nie nie pomogą, gdyż było odwrócić świat dawno składałby się z samych idealów. Mówimy tu o pewnej nieprzekazywalności doświadczeń, która — rzecz jasna — nie dotyczy wszystkich spraw ludzkich. Ta dysgresja na wypadek, gdyby doszła do wniosku, że w szkole i od rodziców nie ma się dowiedzieć i nauczyć nie można. Oczywiście można, a nawet trzeba, co stwierdzamy z czystym sumieniem i bez umoralniającej „grzyby”. Pozdrawiamy, sprząc dobrych wyników w nauce oraz pomysłowej pracy nad kariawaniem własnego talentu, jeśli już uparł się, że to ma być dziedziną literatury (zresztą nie bez naszego w tym przedkwalifikowaniu udziału).



— Jeżeli mówi, że jest gotów bronić swoich poglądów, to znaczy, że jest zupełnie pijany.
rys. L. Szalecki